

Cudów niy ma

JEDNOAKTÓWKI PO ŚLĄSKU 2024

Cudōw
niy ma

Cudów niy ma

JEDNOAKTÓWKI PO ŚLĄSKU 2024

WYDAWCY:

iM!GO
PUBLIC RELATIONS



KATOWICE
Miasto Ogrodów
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

PATRONAT MEDIALNY:

GAZETA
wyborcza

Jednoaktówki po śląsku

Redakcja:
Waldemar Szymczyk

Konsultacja języka śląskiego:
Marcin Melon

Projekt graficzny:
Mateusz Małeński

Realizacja wydawnicza:
Stapis

Skład:
Magraf sp.j., Bydgoszcz

Wszelkie prawa zastrzeżone © Copyright by Imago Public Relations
oraz Katowice Miasto Ogrodów – Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

Katowice 2024

ISBN 978-83-953626-6-8

SPIS TREŚCI

SŁOWO MA ZNACZENIE	6
Rafał Czechowski	
AMBŌNA I TYJATER	7
Prof. Zbigniew Kadłubek	
ROBIMY SVOJE	8
Waldemar Szymczyk	
CUDŌW NIY MA	9
Wojciech Szwiec	
CERA, MATKA, BABCIA, ŌMA	23
Joanna Sodzawiczny	
POETKA	35
Krzysztof Wacławiec	
HEKSER	42
Kornel Sadowski	
GERDZIKOWE SPŌMINKI – ŹYCIORYS WŌNGLYM PISANY	56
Wanda Kędzielska	
SUMMA	65
IREK WIDERA	
ZIYŃĆ NA PIYŃĆ	77
Marcin Woźniak	
MIYNDZY NIEBYM A ZIYMIŌM, CZYLI ŌZPROWKI NA DACHU JORGOWEGO GOŁYMBNIKA	86
Bożena Kaczmarczyk-Gwóźdź	
KETA DNA	95
Krzysztof Kokot	
ELEGIJA Ō ŚLŌNSKIYJ FIŚNIYNTYJ	109
Konstanty Faber	

SŁOWO MA ZNACZENIE

Rafał Czechowski, założyciel Imago Public Relations, współorganizatora konkursu „Jednoaktówki po śląsku”

Drodzy Czytelnicy,

Trzymacie w rękach kolejny tom „Jednoaktówek po śląsku”, a ja nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać. Bo z jednej strony, doczekaliśmy się wreszcie uznania przez polski parlament śląskiego za język regionalny. Prezydent co prawda ustawę ostatecznie zawetował, ale jednak jakiś sukces jest. Jednak... czy to coś zmienia? Czy nagle wszyscy Ślązacy staną się bardziej śląscy, a ich godka bardziej godna?

Z drugiej zaś strony, te nasze jednoaktówki... Rok w rok zbieramy je, czytamy, oceniamy. I co? Przecież nie o to chodzi, żeby pisać po śląsku dla samego pisania. Chodzi o to, żeby żyć po śląsku, myśleć po śląsku, czuć po śląsku. A tego nie da się zamknąć w jednym akcie, w jednej książce, w jednym tomie antologii.

Jest w tym wszystkim jednak jakaś siła. Jakaś uparta, śląska siła, która każe nam, rok w rok, zbierać te teksty, wydawać je, czytać. Jakbyśmy chcieli udowodnić coś sobie i światu: Jesteśmy, mówimy, a przede wszystkim – mamy coś do powiedzenia!

I może właśnie o to w tym wszystkim chodzi. O ten upór, o tę siłę, o tę wiarę, że słowo ma znaczenie. Że

każda napisana po śląsku linijka jest takim małym aktem oporu przeciwko tym wszystkim, którzy chcieliby nas zamknąć w skansenie, w muzeum, w przeszłości.

Więc czytajcie te jednoaktówki. Czytajcie je, jakby od tego zależało wasze życie. Bo może właśnie zależy. Może właśnie w tych słowach, w tych zdaniach, w tych dialogach kryje się nasza śląska dusza. Nasza tożsamość. Nasze jutro.

Jutro, które będzie w jakiejś mierze – wygląda na to, że w niemałej – wytworem syntetycznym. Powstałym za sprawą tego, że nauczyliśmy komputery czytać tekst, rozumieć obraz i syntetyzować na ich podstawie nowe treści. Tym bardziej cieszymy się jednoaktówkami – autentycznymi dziełami ludzi o wielkiej wrażliwości i atencji względem śląskości.

Zupełnie nie jak powyższy tekst – „napisany” przez *sztuczno inteligencyjō* na podstawie kilkunastu poprzednich (w stylu znakomitego pisarza-Ślązaka). Ale to też fragment naszej skromnej misji – promowania języka śląskiego jako pełnoprawnego środka wyrazu artystycznego. *Postrzód tych stond i tych inkszych. Nawet jeźli sōm sztuczne.*

AMBONA I TYJATER

Prof. Zbigniew Kadłubek, juror konkursu „Jednoaktówki po śląsku”

Myślenie myśli z kimś i dla kogoś.¹

ks. Józef Tischner

Ale mi przykro... Nie słyszę bowiem z ambony języka śląskiego. Tak jak gdyby przepowiadanie Ewangelii niegodne byłoby śląszczyzny. „Mosz dwa mantle, dej jeden tymu, co nimo żodnego”. A to Ten, Jezus, człowiek jak my, który pokonał śmierć, mówił o tym, żebyśmy szli i nauczyli we wszystkich językach – po krańce świata, nawet gdzieś po rubieżach wschodniego Górnego Śląska. Tak bardzo nie potrafię się z tym pogodzić, że nie słucham tego, co się z ambony bredzi, bełkocze, banalizując sprawę Zmartwychwstania. No, bo się bredzi, przepraszam, bardzo przepraszam, gdyż nawet ten język polski jest tak ubogi, że zwykli użytkownicy języka polskiego czują się zażenowani, zawstydzeni, rozczarowani. A Jezus mówił w dialekcie; i mówił pięknie; kochał Jerozolimę i płakał nad jej losem, bo to było Jego miasto, Jego region, Jego jak gdyby Śląsk. Urząd nie lubi dialektów, narzeczy oraz tak zwanych mniejszych języków. Urząd lubi kontrolować słowa. Urząd musi mieć jasność. Urząd musi rozumieć pola semantyczne co do joty, w przeciwnym razie wydaje się urzędowi, że traci władzę. Tak, bo władza to język. Kto pragnie strzec porządku w najdrobniejszych szczegółach – musi kontrolować język, pochylone samogłoski.

Zacząłem poważnie, a inni rzekliby, że zacząłem pobożnie. Jednak są to sprawy największej wagi. Przynajmniej dla mnie. I wcale nie chodzi o pobożność, lecz o prawdę i uczciwość przekazu. Skoro ambona zawiodła – został teatr. I z takim niezwykłym fenomenem mamy do czynienia podczas konkursu jednoaktówek po śląsku. Te niewielkie teksty

sceniczne napisane w języku śląskim poruszają problemy traum rodzinnych, zbawienia i potępienia, przestrzennego układu przedmiotów, urządzeń społecznych oraz geometrii. Słowem: dają świat po śląsku. Ze śląskiej sceny słyszmy: *fiat!* I rzeczy stają się śląskie: jak zaczarowane; bo po śląsku świat ogromnieje.

Immanuel Kant zauważył pewnego razu, że wolność komunikowania się jest warunkiem wolności myślenia. I tym się zajmujemy w jednoaktówkach. Zauważyłem, że z roku na rok śląszczyzna w jednoaktówkach pozwala sobie na abstrakty. Zuchwała jest ta śląszczyzna. Nie ma już takich zakamarków pojęć, idei bądź technologii, których język śląski bałby się lub którym nie podołałby. Uczucia opowiada śmieiej i świeżej niż jakikolwiek z języków. Spuszczone z łańcucha urzędniczego, harczą po teoriach śląskie słowa sceniczne. Autorki i autorzy śląskich jednoaktówek pokonali jakiegoś demona niemocy. Żywiół języka śląskiego na scenie tworzy światy, o których nam się nie śniło. Na przykład krzesło mówiące po śląsku – to concept na szekspirowską miarę, może też Kantora.

Johann Gottfried Herder w słynnej „Rozprawie o pochodzeniu języka” pisze: „Czy można odwrócić się od językotwórczego ducha i szukać początku w obłokach”? Podwójna sztuka na scenie śląskiej: językotwórstwo śmiałe i śmiałe teatralne kreacje. Tu już nie można mówić o jakichś próbach, eksperymentach, mitach. Tu dzieje się SZTUKA. Ludzka, boska, stwórcza, natchniona, bogata, nowa.

ROBIMY SWOJE

Waldemar Szymczyk, juror konkursu „Jednoaktówki po śląsku”

Już od 14 lat zachęcamy do pisania po śląsku. Kiedy zaczynaliśmy, trudno było znaleźć na półce księgarskiej jakąś pozycję w tym języku. Dziś jest inaczej – „Pokora. Edycjyõ ślõnskõ” Szczepana Twardocha jest powszechnie dostępna. A takich przykładów jest więcej, jak choćby kolekcja naszego laureata Marcina Melona o Komisorz Hanusiku.

Może któryś z zeszłorocznych laureatów obecnych w tej książce również zaistnieje w całym kraju? Na konkurs w 2023 r. nadesłano 32. prace. Zwyciężył Wojciech Szwiec, autor, który od wielu lat bierze udział w konkursie, z jednoaktówką „Cudów niy ma”. To kryminał o kradzieży z kościoła cennej XVI-wiecznej figurki, który rysuje ciekawy portret obyczajowej fikcyjnej miejscowości Bożydarowice.

Drugie miejsce zajęła Joanna Sodzawiczny, która również uczestniczyła w kilku poprzednich edycjach konkursu. „Cera, matka, babcia, oma” jest pogawędką czterech kobiet. Ale nie są to łatwe rozmowy – w tle jest przemoc rodzinna, zdrady małżeńskie, alkoholizm.

Trzecie miejsce zajął debiutant Krzysztof Wacławiec z pracą „Poetka”. Ta jednoaktówka udowadnia, że w języku śląskim można prowadzić poważ-

ne dysputy o poezji i filozofii. Że jest to język, którym można posługiwać się we wszystkich przestrzeniach.

Jury w składzie: Zbigniew Kadłubek, prof. Uniwersytetu Śląskiego; Mirosław Neinert, dyrektor Teatru Korez i Waldemar Szymczyk z agencji Imago Public Relations, przyznało także siedem wyróżnień:

- Konstanty Faber za „Elegija õ ślõnskiy fiśniyntyj”
- Bożena Kaczmarczyk-Gwóźdz „Miyndzy niebym a zymią, czyli rozprawki na dachu Jorgowego gołymbnika”
- Wanda Kędzielska „Gerdzikowe spominki – życiorys węglem pisany”
- Krzysztof Kokot „Keta DNA”
- Kornel Sadowski „Hekser”
- Irek Widera „Summa”
- Marcin Woźniak „Ziyńć na piyńć”

CUDŌW NIY MA

Wojciech Szwiec

PERSŌNY

Kwiryn
Farorz
Kościelny
Gliniorz

BINA 1

Siedzi chop we drewutni i wyrobio dłutkem świõntka. W pomiyszczyniu stoi rozpolony żeleźniok i fajnie grzeje. Na ławce kole chopa stojõm sztyry jednakie świõntki.

CHOP:

- Nazywõm sie Kwiryn Szalas, jestech z Bożydarowic i miyszkiõm w tyj chałpie õd końca wojny. Robiõłech w mieście, we werku, dyc od przejścio na pyn-dyjo zajmują sie sztukõm artystycznõm. Ja. Kõnkretnie wyrobiõm we drzewie i cosik malują. Terozki strugõm Bożydara, kiery jest patryjõnym naszymy parafie... o, idzie ku mie farorz. Bydzie chcioł wiedzieć jak mi idzie robota?

FARORZ:

- Kwirynie, jak ci idzie robota z tym naszym Bożydarem?

KWIRYN:

- Idzie, idzie, farorzu, hned nastympny bydzie fertig.

FARORZ:

- Jednego postawiemy we kapliczce przy szosie, drugigo na farze. Reszta bydzie schowano. Przido sie na geszynk dlo biskupa.

Prziślõndo sie figurkõm.

No, piyknie ci to idzie, Kwirynie. Jednaki z oryginałym! Jak jo po roz piyrszy ujrzõł Bożydara, to zaro wiedziõłech, że to bydzie nojwiynkszo atrakcja w naszymy parafii. Põncie tu bydõm walić z koždyj strõny. Bo nasz Bożydar, Kwirynie, jest cudowny!

KWIRYN:

- Dyc to je yno figurka z Eelisowyj kapliczki. Cudem jest yno to, że niy zdõn-żył jiy przepieć.

FARORZ:

– Ale jako ta figura piykno! Jeszcze przed stanem wojennym chodziōłech po wsi i godołech z najstarszymi miyszkańcami. Co ôni mi ôsprawiali – chopie złoty! Ani jedyn sie niy wygodōł o tym ůwiōntku! Ich to niy interesowało. Aż, zaszłech do tego ôżyroka Eelisa. Pokozoł mi u siebie, za stodołōm, we krzokach, kaj stoła staro chałpa, tam ostała sie ta cudno kapliczka.

KWIRYN:

– Doł wōm tyn gizd tego ůwiōntka po dobroci, eli chcioł piyniōndze?

FARORZ:

– A kaj, za gorzoła, a jeszcze musiołech z nim wypić! Zebrali my Bożydara z kościelnym, poleku, polekusi, jak Jezuska, ôwinyli becikiem i zebrali my go na oglyndziny.

KWIRYN:

– No ja, tych worstw malunku tam było pora. Swoje lata mioł.

FARORZ:

– A pamiyntosz, Kwirynie, jak tymu kōnserwatorowi sie ôczka zaůwiyciły?

KWIRYN:

– Toć! Szesnostowieczno figura – tak padoł. A musioł sie znać, farorzu.

FARORZ:

– Toć sie znoł! Dobrze, że parafio mōmy tako zgodno i udało sie Bożydara wprowadzić do kościoła, ozłocić i korōnować.

KWIRYN:

– W tyj korōnie wyglōndo choby ůwiynty Sztefan, pra?

FARORZ:

– Kaj Sztefanowi do naszego Bożydara. No, to ty se tu wyrobiej, a jo ida jeszcze do kościoła podoglōndać.

Farorz odszedł kōnsek dalij i godo do sia:

FARORZ:

– Tyn tu istny mo boży dar w rynekach. I to od bajtla. Kwiryn durś mioł cufal we żywobyciu. Chocioż z podejrzanij familie pochodziōł i mioł yno trzecio lista, to niy poszoł jak insi na wschodni frōnt, yno do Francyje. Rzeźbiny, jeszcze przy wojsku, go jedyn kamrat nauczył. Już sie wojna miała kończyć, to zaś Pōnbōczkowo łaska na niego spłynęła. Na rzici mu sie zrobiōł bolok, niy za wielki, ale szczypało go to i bolało, aże łązić niy poradziōł. Zawarli go do lazaretu i bolok wycieni. Jak bōł nazod, to drużyny już niy było, a połowa plutonu była ranno. Zdaje sie Hamerykōny ich wyszczylały. Co było robić? Prziszeł synek nazod, do

swoij chałpy. Ledwo wloz za prōg, to go ruscy chycili i zawarli we staryj szkole jako jeńca. Kwiryn myśłoł że to już kōniec, ale zaś mioł cufal. Kozali mu warzić i glancować szczewiki. Jak sie po tygodniu kapnył, że ôni sōm tak ôżarci, że niy pamiyntajōm ani po co go zawarli, to im citnoł. Ja. W dzisiejszych czasach niy ma już takich ludzi. ůwiynty jest tyn mōj Kwiryn. A Pan nad nim czuwo!

Kwiryn zaglōndo za odchodzōncym farorzem:

KWIRYN:

– Jo na tyj pyndzy siedza yno i dłubia we drzewie. Biera klocek i zaro robia ůwiōntka. Co jo tych ůwiōntkōw nawyrobioł! Farorz co chwila przichodzi i coś chce. To do kościoła, to do zogrody, to na geszynk. O naszego Bożydara bez lata całe tyż fest dbo. Złociōł go i stroił w precjoza. Bożydar od lot stowoł sie coraz piykniejszy i co roz sławniejszy. Piyrso pōnc prziszła z Gliwic, potym z Bytōmio, a potym nawet z Piekor i Skoczowa. Kożdy chcioł do cudownyj figury porzykać. Yno na samym poczōntku cudu za bardzo niy było. Potym sie nasz Bożydar trocha poprawiōł. Pōnoć poradziōł jakiesikej cuda robić z babami. Te, co niy poradziły zońść, musiały klynkać przez Bożydarem i rzykać. No, ône rzykały, a wracały za rok z wielgim bebechem. Chopōw pōnoć leczył z alkoholizmu, ale w to akurat farorzowi niy uwierzyłech, bo jakby tak było, to uleczył by Eelisa – tego pijoka, u kierego za stodołōm tela lot stoł. Eh... Ciynżko spotkać u nos kogoś, fto by to potwierdziōł.

Farorz sie cieszy, bo skuli Bożydara odwiedzajōm go biskupi i godni ksiynza. Kożdy go tu zowdy chwolił i mioł w zocy.

Aże do czasu.

BINA 2

Gabinet urzōndzōny surowo ale estetycznie. Na ścianie wisi mały krzyżek i dupne polske godło. Orzełek mo korōna doklejōno ze srebrnyj folijki. Prziklejōno na staryj arabskij gumie już zdōnżyła sie trocha eknōnc. Na biurku stoi telefōn z cyferblatem i maszyna do pisanio. Kole nij pełny aszynbecher. We ôknie niy ma gardin, bez kraty widać plac. We izbie siedzi gliniorz, kiery spisuje zeznania ůwiadkōw. Siedzōm we dwōch i fest sie nerwujōm.

GLINIORZ:

– Niy nerwujcie sie tak. Dyć znojdymy winnego i zawrymy do haesztu. Kōntynujemy przesłuchanie ůwiadka.

Zaczyno klepać na maszynie. Farorz, lot 66.

GLINIORZ:

– Co sie według świadka stało 28 stycznia 1995 roku we kościele parafialnym w Bożydarowicach?

FARORZ:

– Otwyrôm kościół o pól siödmyj. Som, bo kościelny przichodzi niyskorzyj. Światło pola yno z boku, we nawie, kaj stoi słuchatelnicza. Ida spowiadać, świyca lampka, ale drzwyrzek niy zawyrôm, bo zaro mi sie tam robi duchota. Myśla se, siedna w tyj słuchatelnicy, porzykôm, dyc można sie drzimna, bo pewnie żodyn po śwyntach z grzychami zarozki niy poleczi. I tak siedza i rzykôm. Zaglôndôm bokiem na ołtorz i cosik durś mi niy pasuje... Patrza roz, potem drugi roz i jak niy trzasna tymi drzwyrzkami! Garusza przed ołtorz i widza, że niy ma naszego Bożydara! Zaglôndôm, można figurka spadła, możno było tōmpniyncie i sleciała... Nic!

GLINIORZ:

– I co robiliście dalij?

FARORZ:

– Przilecioł kościelny i szarpoł mie za lewe rando na spamiyntaniy. Potym polecioł do zakrystie, bo tam je telefôn i dzwōniôł do was. Tela wiym.

GLINIORZ:

– Przesłuchanie świadka. Kościelny, lot 70. Godejcie, co wy uwidzieliście tego dnia?

KOŚCIELNY:

– Prawie wchodziłech do kościoła, a farorz jak zwykle rano we słuchatelnicy siedzioł i drzymoł. Jo sie klynknoł, gowa pochylił, bo zowdy tak robia i to od progu – ôroz jak coś dupło! Wiycie jak to sie po kościele niesie jak coś dupnie? Jerōnie!

No ja, skōnd macie wiedzieć jak do kościoła niy chodzicie... *(wzdycha...)*

GLINIORZ:

– Do rzeczy! Skupcie sie!

KOŚCIELNY:

– Ja. I jak dupło, to była chwila ciszy... I ryk taki zarozki sie rozlego i myśla, cōż tyż to sie wyrobio? I leca do tyj nawy, a tam farorz we tyj swoj stule na karku ryczy. „Fto nōm zebroł Bożydara!!!” Jo leca ku niymu i na własne oczy to uwidziołech. Błogosławiyni sōm ci, kierzy niy widzieli, a uwierzyli! Imaginujcie sie: niy ma Bożydara! Pusty ołtorzyk! Farorz rozpaczo. Czekołech tam dość chwila, aż skończy ślimtać. Jak sie spamiyntoł, to ostawiołech go tam i poszłech do zakrystie dzwōnić po milicjo.

GLINIORZ:

– Już sie niy godo milicjo! Poprowcie sie!

KOŚCIELNY:

– Ja. Panie władzo, toć, toć. Byda już korekt.

FARORZ:

– A idzie sie dowiedzieć od szanownego pana oficera, jak ôni tam wlyżli?

GLINIORZ:

– To je tajymnica śledztwa, ale suchejcie *(nachylo sie i szepcze kōnfidencjōnalnie)*. Technicy ustalili, że z boku kościoła, we drzwiach zakrystie wylômali zōmek. Nic wiyncyj niy byda godoł, za to wy powiydzcie eli straciło sie coś jeszcze?

KOŚCIELNY:

– Yno Bożydar...

BINA 3

Po lewyj strōnie sceny stoi glinorz, kole niego farorz obleczōny do mszy, a z prawyj kościelny. Farorz mo uniesiōne rynce i śpiywo psalm na kościelno nuta.

FARORZ:

– Pan jest wielki na wieki,
Imie jego chwoloł narody,
Pan jest wielki na wieki,
Lasy i pola i leśno zwierzyna,
Ogrody kwietne chwoloł Pana,
Bo z niego wszystko sie rodzi
Ludzkie niegodziwości wydały nos na prōba,
W Panu jedyno nadzieja.
Serca nasze wypełnio ôstuda.
Ludzie z przepadzitości pozbawili nos daru,
Choć czyny nasze były bez skazy
Nadzieja mōmy w yno w Panu
Ołtorz, kiery lōnczy nos z Panem
Hańbi ręka złoczyńcy...

Naroz rozlego sie dzwōnek starego telefōnu, takigo na kablu. Glinierz i kościelny sie rozgladajōm. Farorz dalij śpiywo psalm. Dzwōnek dzwōni coroz natarczywij.

...norōd nosz łaknie sprawiedliwości,
Sprawiedliwość yno w Panu
Pan jest naszōm miło...

Farorz ōroz przerywo, odwraco sie i wychodzi ze mszy. Stowo zadkiem do publiczności kaj bina sie już kończy – sam przy kulisach – tam na ścianie wisi aparat. Podnosi słuchawka na kablu i pado.

FARORZ:

– Halo?

Słyhać jakies charczenie i głos offu:

– Guten tag, herr Farorz, ich habe deine Bożydar. Dej mi sam 20 tysiyncy nowych złotych. Ostow we krzokach pod krzyżem, bite. Dostaniesz go zurück, nazod! Żodnymu nic niy szprechey o tym, że jo do ciebie dzwōniōł!

Trzask odkładanyj słuchawki. Farorz wraco na środek biny i śpiywo.

FARORZ:

– Rzykōmy za noszego arcybiskupa Kleofasa i cołkie duchowieństwo.

Gliniorz i kościelny śpiywajōm w odpowiedzi.

– „Kyrie eleisōn”, wysłuchej nos, Panie!

FARORZ:

– Rzykōmy za nosz okradziōny kościōł, sprofanowany bez złych rabczykōw.

GLINIORZ I KOŚCIELNY:

– „Kyrie eleisōn”, wysłuchej nos Panie.

FARORZ:

– Rzykōmy za naszego Bożydara, żeby do nos wrōciōł nojpryndzyj jak sie yno do!

GLINIORZ I KOŚCIELNY:

– „Kyrie eleisōn”, wysłuchej nos Panie!

FARORZ:

– Rzykōmy, coby mi sie udało zebrać piniōndze na okup. Coby figura wykupić z pazurōw polskigo Nymca.

KOŚCIELNY:

– „Kyrie eleisōn” – wysłuchej...

Gliniorz podchodzi do farorza i obchodzi go dookoła.

GLINIORZ:

– Farorzu, ludzie godajōm, że mocie jakiesikej telefōny w sprawie okupu? Zdo mi sie, że musimy o tym pogodać.

FARORZ:

– Jo z wami godać niy musza. Jednym moim obowiōnzkiem jest dbać o dobro moij parafii i kościoła. Jo sie na władzy już niy roz przejechoł. Pamiyntosz, jak mie niy chcieli puścić do Wiednia, żeby kupić złoto do złocynio Bożydara?

KOŚCIELNY:

– Toć, pamiynto, yno gupola udowo. Dyć to ōn już wtedy w milicji robiōł.

FARORZ:

– Jak już w końcu dostolech od vos paszport, to żeście mi ōba do niego nachorkali i pedzieli: „na, jedź”.

KOŚCIELNY:

– Niy ma cie terazki gańba?

Gliniorz odwraco sie zadkiem do widowni i patrzy farorzowi w ōczy i pado.

GLINIORZ:

– Jo wōm kciōł yno pōmōc. Z wami to je tak zawsze, ani po dobroci, ani po złości!

Obrōciōł sie i poszoł furt.

BINA 4

Kwiryn siedzi na progu i cosik dłubie w desce. Podchodzi do niego kościelny, biere dwa gotowe Bożydary i chowie do epy.

KOŚCIELNY:

– Farorz mie posłali. Wezna dwa.

KWIRYN:

– Toć. Panie kościelny, terazki sie tela wyrobio...

KOŚCIELNY:

– Farorz mo ōstuda z milicjōm, a nawet z parafiōnami.

KWIRYN:

– Kedyś Bożydarowice to była spokojno wieś.

KOŚCIELNY:

– Jo to jeszcze pamiyntōm. Mōj ōjciec opowiadał jak to za Nymca było spokojnie. Żodyn tu niy jeździōł i żodyn ani niy wiedzioł kaj ta wieś leży.

KWIRYN:

– Bo niy było jij na mapach. Tak po prowdzie to za Nymca wcale niy nazywała sie Gottesgabe, jak by szło przypuszczać, yno Schlammdorf. Tu sto lot tymu chałpy były drewniane, a na drōdze jedyn maras i nasrane.

KOŚCIELNY:

– Cołko okolica tako była zapōmniano bez Boga i państwo... Wieś obok, co sie dziś nazywo Dobrzanka, nazywali wcześnij Dreckkaff.

KWIRYN:

– Brudno dziura!

KOŚCIELNY:

– I jak tego byłoby mało, dalij w strōna Opola, była osada zwano Kackedorf, dziś piyknie nazywano Kaczkowice.

KWIRYN (*chichro sie*):

– Dyc to od kacke...

KOŚCIELNY:

– No właśnie kupka, panie Kwirynie! Fater mi wszystko ôsprawioł. Može nasza wieś tyż by ôstała jakimś zadupiyem, ale wōjt Wiescholek załozōł młyn parowy i hned jeszcze przed 1935 rokiem wszystkie chałpy u nos były murowane. Mało fto to pamiynto.

KWIRYN:

– Po latach nowy farorz znod figurka u Eelisa, zebroł mu jōm, ozłociōł i wy-niōs na ołtarz. Wtedy sie wszystko zmiyniło.

KOŚCIELNY:

– Dzioło sie! Do wsie zjeżdżały sie kōmisyje z kurje i szpece roztōmajte. Uznali, że figurka to je Bożydar z Bożydarowic! Hned mieli my Bożydara na ołtorzu. Jak już bōł to my już nic innego z farorzym niy robili, yno czekali na cud. Dyc tyn ozłocōny Bożydar musioł być cudowny!

KWIRYN:

– Za duzo tego larma było, terozki rabczyki figura zachachmynciły i tela z tego bydzie.

KOŚCIELNY:

– To wy niy wiycie? Dyc dzwōniōł jakiś polski Niyemiec do farorza i chcioł 20 tysiyncy nowych złotych okupu za Bożydara. Dyc to je gańba!

KWIRYN:

– A možno to bōł jakiś znany we wsi polski Niyemiec? Tam u Marekwie bōł na śwynta jego bracik, to fest podejrzan y typ.

KOŚCIELNY:

– Przijeżdżajōm sam na byzuch, pakety i gyszynki wożōm. Dyc na to trza mieć geld, to trza w tych Niymcach kupić.

KWIRYN:

– Toć. A za co, jo sie pytōm, ôni to majōm kupić?

KOŚCIELNY:

– Dōmy tymu pokōj. Ida nazod do farorza, bo bydzie zły, że mie tela czasu niy ma.

BINA 5

Izba na farze. Skrōmnie urzōndzōno. Jest leżanka, meblościanka z barkiem i szrankiem i mały stōł. Farorz wyciōngo z epy figurki Bożydara i chowo ich do szranku.

FARORZ (*godo do siebie*):

– Jedyn, dwa, trzi, sztyry... musza zaś ze dwa dać zamōwić.

ôroz do izby wlatuje zdyszany kościelny

KOŚCIELNY:

– Farorzu! W zakrystie dzwōni telefōn!

FARORZ:

– Rabczyk!

KOŚCIELNY:

– Abo tyn zesmolōny gliniorz, jedno z dwōch.

Dźwiyнк dzwōnka slychać coroz głośnij. Farorz dolatuje na kōniec biny, stowo zadkiem do widowni i dźwigo słuchawka.

FARORZ:

– Halo?

Slychać jakiesikej charczenie i głos offu:

– Zdrastwujcie, farorzu. Ty chacziesz uwijet twoicho Bożydaru. Ty musisz podciepać diengi do hasioka obok krziża. Zawtra wecerōm. W epie ma być 30 tysiency novyye polskiye zlote, panimasz?

FARORZ:

– Da, Panimaju...

Upuszczo załōmany słuchawka. Oblyko sie jak do mszy narzucajōnc stuła i podłazi na przodek sceny. Kościelny zostaje ze zadku i stoi cicho z opuszczōnym łepym.

Chwila ciszy. Farorz rzyko.

FARORZ:

– Mōdlmy sie za naszego gliniorza, aby chyciōł tych zesmolōnych rabczykōw i odzyskoł nasza figura.

KOŚCIELNY:

– „Kyrie eleisōn” wysłuchej nos Panie!

Ta sama izba, przy stole siedzi farorz, kościelny łązi nerwowo po izbie.

KOŚCIELNY:

- Farorzu, cud sie stoł, gliniorz już sie na wos niy gorszy. Widza z ôkna jak wyszeł z auta i idzie ku nôm.

GLINIORZ (*włazi i od progu woło*):

- Farorzu, jo sie już na wos niy gorsza.

FARORZ:

- Jo tyż je pełyn przeboczynio.

GLINIORZ:

- Musicie mi pedzieć co tu sie wyrobio, inaczej tego rabczyka niy chycymy... abo rabczykōw. Kedy mo zaś zadzwōnić?

FARORZ:

- Niy zadzwōni. Mōmy dać piniōndze dziś, w Sylwestra o dziewiōntyj na wieczōr i czekać.

KOŚCIELNY:

- Dyc po mszy kole kościola jest festyn, tam jest zawsze duzo ludzi. Jak ôn chce te piniōndze zebrać?

GLINIORZ:

- Pierōn go tam, za przeproszeniem pana farorza, wiy!

KOŚCIELNY:

- Niy nerwuj farorza, ateisto.

FARORZ:

- Dej pokōj.

GLINIORZ:

- Tyn, co dzwōniōł noprzōd godoł po niemiecku, a terazki po rusku?

FARORZ:

- Ja, we wtorek to bōł choby taki polski Niemiec, a we czwartek polski Rus, abo ruski Polok. Eli to może być jedyn, a tyn sōm?

KOŚCIELNY:

- Terazki już kce 30 tysiyncy! ...nowych złotych!

FARORZ:

- Niy mōmy tela piniyndzy, dyc kolekta bydzie dopiyo we niedziela.

GLINIORZ:

- Psinco mu dōmy, niech kościelny z ministrantami nastrzyże gazet i wrazi do epy tak, coby wyglōndało jak 30 tysiyncy. Mōm plan! Chycymy tego rabczyka!

KOŚCIELNY:

- ...abo dwōch!

FARORZ:

- ... i odbieremy Bożydara.

GLINIORZ (*wyciōngo jakisikej heft i szkryflo coś na kartce*):

- Namaluja wōm plan. Tu je kościōł, tu kirchhoff, a tu krziż, kole niego je tyn mały hasiok przy ścieżce. Tu farorz musi wciepać geld. Jo sie schowia we grocie, a giwera byda mioł w gorści.

FARORZ:

- Jo wezna trzech zaufanych ministrantōw, kierzy bydōm łązić po placu z korszczkiem i sprzedawać „Goscia Niedzielnego” – ôni bydōm wypatrować podejrzanych i obcych.

KOŚCIELNY:

- Szczegōlnie polskich Niemcōw.

GLINIORZ:

- Pan, panie kościelny, bydzie siedzioł na parkingu we aucie i obserwowoł ainfart.

KOŚCIELNY:

- Co z drugōm bramōm ze zadku?

FARORZ:

- Ōna jest zaroz przy farze. Koża moij kucharyji filować bez ôkno, zowdy dowo pozōr na wszystko i wszystkich.

KOŚCIELNY:

- Ja, ôna je fest wrazielato, a docierno.

GLINIORZ:

- Bydōm jeszcze moi ludzie – sierżant Palka i aspirant Strzoda. Bydōm dlo wszystkich niywidzialni – to ôni chycōm naszych rabczykōw!

FARORZ:

- Akcja obserwacyjno zaczynōmy już o siōdmyj na wieczōr. O dziewiōntyj farorz idzie wyciepać epa z piniōndzami do hasioka.

KOŚCIELNY:

- Potym niy bydzie już odwrotu. Tyj nocy Bożydar bydzie w dōma.

BINA 7

*Ta sama izba. Noc. Słysać bicie zygora. Poleku robi sie widno.
Chopy siedzōm przy stole i ziewajōm.*

FARORZ (*ziywo*):

– Juz świto, hned bydzie widno.

KOŚCIELNY:

– Po jakymu sie niy pojawili? Zrobili nos za błozna?

FARORZ:

– Niy ma już ratunku dlo Bożydara!!! Sōm my zgubiyni. Żodyn ani niy zajrzoł do hasioka...

KOŚCIELNY:

– Na co my liczyli? Widać cudōw niy ma?

BINA 8

*Drewutnia Kwiryna. Rzeźbiorz szlifuje świōntka.
Popijo tyj ze szolki, ôroz wbiego kościelny.*

KOŚCIELNY:

– Panie Kwirynie...

KWIRYN:

– A, witejcie w Nowym Roku.

KOŚCIELNY:

– Panie! Cud sie wydarzył!

KWIRYN:

– Co takigo?

KOŚCIELNY:

– Bożydar jest już dōma!

KWIRYN:

– Jak sie to stało?

KOŚCIELNY:

– Wczora zrobili my z milicjōm zasadzka! Nawet ministranty i kucharyjo działali jako wsparcie akcji.

KWIRYN:

– Połōnczōne siyły policji i kleru?

KOŚCIELNY:

– Ja, gynau, ale akcja sie niy udała, żodyn niy wpod w nasza wymyślno pułapka. Było rano jak szli my na fara napić sie tyju. Załōmani, zmynczyni i zmarzniyni w pierōny. Koždy już ziywoł i klōn pōn nosym, kej ôroz zadzwōniōł telefōn

KWIRYN:

– Ciekawe fto dzwōniōł, polski Niymiec eli polski Rus?

KOŚCIELNY:

– Polski Niymiec z ruskim akcyntym. Koždy ucho przistawił do słuchawki. Prawie wszystko było słyszeć.

KWIRYN:

– I co godoł?

KOŚCIELNY:

– Dzwōniōł fest skruszōny i padoł, że dziynka modłōm farorza i parafijōnōw ōn sie nawrōciōł i serce mu sie ōtwarło i tak mu sie żol zrobiyło. Pedziōł, że niy chce Bożydara, yno prosi o wyboczyniy. Wszyscy my ślimtali, tak nos wzruszył.

KWIRYN:

– Jerōnie, a co z Bożydarym?

KOŚCIELNY:

– Kozoł nōm iść na kirchhoff, tam kaj pochowani sōm żołnierze ruscy i tam kozoł szukać Bożydara.

KWIRYN:

– I znodliście?

KOŚCIELNY:

– Cud sie wydarzył, Bożydar stoł schowany za tujōm, rzykoł za nos grzesznikōw i czekoł na ratunek.

KWIRYN:

– Wielu czekało na tyn cud! Kedy nasz Bożydar wrōci na ołtorz?

KOŚCIELNY:

– Chyba niy za gibko.

KWIRYN:

– Po jakymu?

KOŚCIELNY:

– Bo je colutki goły. Te pierōnske rabczyki zebrały cołke złoto, w kiere bōł ōbleczōny. I korōna złoto i kryka złoto... wrōcili nōm Bożydarka, ale po sagu...

KWIRYN:

– Pierōnie, to richtich cud. Liczyli na szesnostowieczno figura i sie trocha przeliczyli...

KOŚCIELNY:

– Dyc to jest nasz stary Bożydar!

KWIRYN:

– A kaj, to je yno moja kopia. Oryginał z kapliczki Eelisa je schowany u faro-
rza we sejfie.

KOŚCIELNY:

– O jerōnie...

KWIRYN:

– Figura wōm wrōcili, bo sie kapli, że na szłapie je podpis autora. Jo podpisuja
sie na każdyj figurce.

KOŚCIELNY:

– Jako to?

KWIRYN:

– Normalnie, tyj figurce na spodzie stoło: Kwiryn Szalas A.D. 1986.

KOŚCIELNY:

– No ja, cudōw niy ma...

Kurtyna

CERA, MATKA, BABCIA, ŌMA

Joanna Sodzawiczny

*Ta historio jest blank wymyślono, ale czy to znaczy,
że niy mogła sie komuś przytrofić naprowdy ?*

PERSŌNY:

Cera – Maja, frela kańs wele 25 lot

Matka – Mirela, mo coś wele 20 lot wiyncyj ōd swojij cere.

Babcia – Marta, mo już tyła lot, że żodyn ji niy bydzie rachowoł, kedy urodziła
Mirele.

Ōma – Maria, przed ōziymdziesiōntkōm abo i po. W każdym razie je w takim
wieku, że mo sie dużo rzeczy w rzici.

BINA I

*Siedzōm wszyske sztyry baby we izbie, chyba siedzōm już jakoś chwila,
bo każdo mo szolka z kawōm i talyrzik z zistōm.*

MAMA:

– Majeczko, a ty czamu tak cicho siedzisz? Nic niy godosz...

BABCIA:

– Co prowda to prowda... Je ci co?

ŌMA:

– A dejcie dziōlsze spokōj...

CERA:

– Bo jo sie rozwodza....

ŌMA:

– Jezderynie, tako gańba... rozwōd w naszymy familii!

MAMA:

– Dziołcha, co to godosz!!!! Dyc dziepiero żeście ślub brali, nawet dwa lata
jeszcze niy ma...

CERA:

– Wiyem... Ōma, rozwōd to niy ma nic takigo.

ÕMA:
– Jak nic takigo? Przed Ponbõczkiym żeście przysiyngali i serwać to, to niy ma nic takigo?

CERA:
– Õma, rozwõd to tera je normalno rzecz. Dwa podpisy na papiõrze, poraset złotych do kasy i fertich, po ptokach... Wielge mi mecyje...

MAMA:
– Majeczko, ale co sie stało?

CERA:
– Niy chca ô tym godać....

MAMA:
– Niy lyj sie żurym. Godej nom sam zaro co sie dzieje? Dyc takeś przoła tymu swoimu Robercikowi. Jeszcze miesiõnc tymu żeście sie z dziubkõw wyjodali, a tera naroz rozwõd? Już wiy... õn na pewno mo jakoś baba na boku.... Bydzie to prawda? A patrz, tak mu dobrze z õczõw patrzało, taki dobry synek... nale chop to jes inoś chop. Jak za jakomś keckõm polecì, to niy ma sie go co trzimać... polecioł roz, to polecì i drugi... Ale że tyn nasz Robercik... jo go durś miała w zocy... Ale nic to, cera, wynajmny my adwokata, ponoć cera moi koleżanki skończyła prawo i tera mało kery ij w sõndzie podskoczy... Wiy, wiy, yno podpis styknie, ale my puszczy my pierõna w samych fuzełkach, õboczysz... A ty se znojdiesz jakigoś fajnego szaca...

CERA:
– Przestoncie, jo niy chca żodnego szaca, a Robert nyi mo żodnyj baby na boku... Na pewno niy... Przinojmny jo nic ô tym niy wiy...

MAMA:
– Bo baba to się zowždy na końcu dowiaduje, wszyscy już naõbkoło wiedzõm, a baba durś niy. Ty sie yno koleżanek popytej, õne już na zicher coś wiedzõm...

CERA:
– Mamo, przestoń, to niy ma tak...

MAMA:
– Ja, dziołcha, tak se to tłumacz... jo tyż tak godała, że niyskoro przilazi do chałpy, bo mo robota, abo jakoś fucha u kolegi, z kolegami do szynku poszoł, inkszym razym zaś pana chycioł, bo kogoś z roboty odwoziõł i zanim jakeś koło spatrzeli to już dniało... Dej se, dziołcha, pedzieć, a niy być tako gupio jak jo była.

CERA:
– Mamo, czy ty chcesz mi padać, że õciec cie zdradziõł?

ÕMA:
– A bo to roz?

CERA:
– Õma, wyście ô tym wiedzeli ?

BABCIA:
– Põł wsie ô tym wiedziało...

MAMA:
– Yno ô tyj piyrszyj, za drugim razym już sie bardzij staroł...

ÕMA:
– Taki sie twoi mamulce trefiõł typ z wadõm kryngosłupa...

CERA:
– Jakõm wadõm?

ÕMA:
– No z dupõm na boku...

CERA:
– Õma! Wy i te wasze żarty! Mamo, czamuś ty õd niego niy poszła?

MAMA:
– Kaj? Tyś była maluśko, twõj bracik mioł sie dziepiyro urodzić... kaj jo miała is?

CERA:
– Tata cie w ciõnzy zdradzoł? Jo by od takigo chopa poszła...

MAMA:
– Jaa, tak se tera godej, kaj byś poszła z dwõjkõm małych frupkõw? Bez pi- niyndzy...

CERA:
– Do babcie! Prawda, babcio, że ty byś jõm wziyna nazod do dom?

Cisza

MAMA:
– Pamiyntej, cera, jak cie chop roz puści kantym, to mosz jak w banku, że drugi roz tyż põdzie! Tak że tyn... jak chcesz õd niego õdyńś, bo wiysz że kogoś mo, to zrõb to tera. I mosz moje błogosławiyństwo. Ale zrõb to drapko, chobyś floster srywała...

CERA:
– Niy, mamo, to niy ma tak... õn mie niy zdradziõł... õn rod je przy mie... za cudzymi niy zaglõndo...

MAMA:
– Eli tak godosz...

CERA:
– Mamo, ale wyście z ôjcym sôm szczynsliwe tera, pra? Dyc non stop kańs furgocie, rajzujecie, chichrocie się... przeca jo downo niy slyszala żebyście sie o coś wadzili...

MAMA:
– Bo tak je! Przōdzij było źle, ale jakosik my to strzymali. A potym... ôjciec doszoł do lot i do rozumu, no i tera... Tera je dobrze... Ale wiysz wiela nos to kosztowało? Jak cie chop zdradzo, to to w babie ôstowo... Za kōždym razym jak je niyskorzij z roboty, to sie zastanawiosz, czy to zaś niy ma ta sama lajera. Ja, dziołcha, tera my sôm cuzamyn, ale niy zawsze było tak kolorowo. Toż posuchej matki, jak mosz dobrego chopa, Majeczko, to ô niego dbej, dogodzej, holkej, ale roz za kedy nawciepuj mu wiela wlezie, żeby pierōn mioł w zocy to, co mo we chałpie.

ÔMA:
– Mirela, nalejesz mi jeszcze trocha kafyju? A ty, dziołcha, powiydz, jak niy skuli baby, to skuli czego ty chcesz go ôdyńś? Można skuli gorzoły, pra? Słepie, ja? Nojgorzij jak zamiast chopa mosz pijoka, ożyroka abo ochlapusa...

CERA:
– A co to za różnica?

ÔMA:
– Ochlapus przilazi do dom ożarty, idzie spać i w chałpie jest spokōj. Ożyrok przidzie nacinkany albo nabity, larmo robi, bajtle pogoni, teściowyj nazdo i tyż pōdzie spać, ale pijok... Pijok kańs sie nażgo, napiere albo nawali... abo jeszcze gorzij niydopije. I jak do dōm przidzie to w dōma je cyrk na kōłkach. Wajo i haja robi, w bajtle laczami ciepie... szolki trzasko i jeszcze z gracami do baby sztartuje... Niy idzie go uholkać, kej niy dopije i niy padnie tam, kaj stoł. A rano to smarki, rzigi i jscochy ôstawi ci do sprzōntanio. Dziołcha, jak tymu twoimu gorzoła smakuje, to citej jak najdali... Bo lepiej było, jak na zolyty przyłaziōł, a potym, to już może być yno coroz gorzi...

CERA:
– Niy, Ôma, Robert niy pije...

ÔMA:
– Jaaa? Jo pamiyntōm jak było na moim gyburstagu... Pamiyntocie, jak sie ôżar? Ochlapus pierōński... do auta trza go było kludzić.

CERA:
– Ôma, na gyburstagu u wos, to ôn siod kole ujka Stefana, a wiycie, że ôn niy wylywo za kragel... No i jak Robert siod, to już tak ôstoł siedzieć... ale to niy jego wina, ôn niy wiedzioł, że Stefan kōżdego ôżere... nawet farorza ôżar, farorz potym społ przy fōrtce, we śniygu. Sōmsiod go znod i zaniōs na fara...

BABCIA:
– Maja! Dej ty lepiej pokōj farorzowi...

CERA:
– Jo tam do farorza nic niy mōm, ale tak było forgot... Ôma, a Ôpa pił?

ÔMA:
– Niy, Majeczko, niy pił, słepo! Ochlapus bōł z niego jakich mało, ale jak se wypił, to zaro grzecznie szoł do betów nynać. Haj niy robiōł. A jak cykniynty prziszōł, to jeszcze piniōndzami bajtle dzielił. Tak na wesoło pił, no, ale wziōn i umar. Dobrze, że do pyndzyje dorobił, bo przynajmij tera mom po nim jaki piniōndz. Ôpa bōł, jaki bōł, ale chop ôżyrok to niy ma nic dobrego.

CERA:
– Ôma, a powiydzcie, jak sie godo na baba, kero pije gorzoła?

ÔMA:
– Na to niy ma żodnego miana... To je tak źle, że tego niy do sie nazwać... Pamiyntej, dziołcha, że jak fater w chałpie słepie, to bajtle zawsze mogōm do matki polecieć sie wyżolić. Bo matka ôd tego je, pra, Marta? Ale jak matka je nacinkano, to kaj majōm iś? Do fatra? Dyc chop, to jes inoś chop.

CERA:
– Ôma, ale tera chopy sôm inksze, na pakerhala łożom, zdrowy futer jedzōm, ôni nawet niy myślōm o gorzole, bo to yno puste kalorie, a ôni chcōm być wyzgerni, take szlangōwy, yno że synki. To już dziołchy wiyncyji sļepiōm.

ÔMA:
– Jaaa, to slyszalach nawet w telewizorze ô tym godali... beztōż niy ma bajtli, kere by na pyndzyjo do starych robili i beztōż starziki take jak jo niy majōm piniyndzy, co by im na medykamynty stykło i to je na zicher prawda, bo to w telewizorze godali.

CERA:
– Ôma, wy przestōńcie ôglōndać te telewizory, lepiej se jake sudoku rozwiōńzcie, to wom lepiej na gowa robi.

ÔMA:
– Z ciebie to zawsze była pyskula!

MAMA:
– Co prawda to prawda, ale wycie po kim to erbła? Gynau po Vos. Maja, powiysz nōm w kōńcu czamu chcesz tego Roberta ôdyńś?

CERA:
– No bo... No bo... Jo jednak niy chca godać...
Cisza

MAMA:
– Maja, czy ôn kedyś...

BABCIA:
– Mirela, jo sie spytōm... Majeczko... czy ôn cie kedyś ukrziwdziōł? Czy ôn cie piznoł, abo jakoś inaczyj dugnoł?

CERA:
– Babcio! Niy!!

BABCIA:
– Suchej, dziōszko, take rzeczy sie trefiajōm. A tyn twōj Robert to jest jednak kyns chop, jak ôn cie piźnie to...

CERA:
– Babcio, naprowdy! Robert mie niy piznoł ani razu. Babcio, to niy te czasy, kej chop baba leje. Dyc je Niybiesko Karta, psychologi, Gopsy, dochtory! To juź niy te czasy, że baba dowo zwola na take rzeczy...

BABCIA:
– Majeczko, tyś je modo, ty jeszcze nic niy wiysz ô życiu, ôjce cie pod kloszym chowali ale... Niykere chopy tak majōm, że żeby poczuć sie jak richtig chop, to muszōm piznōńć baba. Czasym fest, czasym lecy, czasym im styknie jak jōm yno poszturchajōm, czasym ôstanie ojła, czasym yno boli przez pora dni, a czasym je gorzij i uwierz mi, że na pewno sie żodyn niy spyto, czy może piznōńć... Yno piźnie. A potym bydzie godoł, że to niy jego wina, bo wiysz, chop mo sztresy w robocie, ôn w dōma chce mieć spokōj, a jak baba niy zadbo, żeby było tak jak ôn chce to... no, czasym mu nerwy puszczōm i przyleje, ale to niy ma tak, że ôn tego chce. To skuli baby... to baba je winno...

CERA:
– Babcio, ale ty fandzolisiz... Jak chop piero baba, to to yno jest jego wina, jego widzimisie i jego szpetny charakter. Baba może w dōma niynawarzić, niyposchraniac i może chopu nazdać jak mu sie noleży. Ale nigdy niy może dostać od chopa bez pysk. Nigdy. I żeby było do porzōndku, to baba chopa tyź niy śmie prac. Niy i kōniec. A jak keroś baba myśli inaczyj i dowo sie chopu loć to chyba mo niy poukłodane klepki pod deklym.

BABCIA:
– To jo mono pōda umyć te szolki, prziniyś wom jeszcze kafyju abo co?
Babcia wylazi

MAMA:
– Cera, ty tyź niy wiysz, kedy pysk trzimać.

CERA:
– Ale co się stało ?

MAMA:
– Co sie stało, co sie stało? A co sie miało stanōńć? Nawciepywałaś babci, a psinco ô nij wiysz.

CERA:
– No, ale chop niy śmie baby prac... Czy ôjciec kedy piznoł ciebie abo mie? A Ôpa Ômy?

MAMA:
– To jo twojigo fatra po pysku loła, aż sie spamiyntoł, chociaź czasym mysla, że i tak za mało...

ÔMA:
– Mie Ôpa roz sprōbowoł tyknōńć, ô coś sie wajoł i mie chlasnoł, a jo akurat przy piecu stoła, jakżech sie zaro kopocykiym odwinyła, to tak po nyrkach dostoł, że wiyncyj sie niy ôpowożył mie piznōńć, ale Marta... Marta to je cołkiym inkszo zorta ludzia, ôna ôd małego było spolegliwo, a tyn ciulik Erwin umioł to wykorzystać...

CERA:
– Ale myślisz, że ôn babcie...

MAMA:
– Jo niy myśla, jo wiyem!

CERA:
– Ale jak to możliwe?

MAMA:
– Niy podpadło, ci że my sie z mojōm matkōm wcale niy widujemy? Do tyj drugij babcie jeździli my jak na sranie, a do moi wcale abo blank wcale.

CERA:
– No niy, jak byłach mało, to jo myślała, że ôni daleko miyszkajōm, het na gorolyji i beztōż tukej niy przyjeźdzajōm, ani my do nich, bo fto by chcioł na gorolyjo jechać, a potym jakech wyrosła, to żech sie nad tym niy zastanawiała, bo zawsze tak było, że my ich mało widujemy... można skuli tego, że daleko miyszkajōm.

MAMA:

– Te, no niy przesadzej, trzidziści kilometrów, toć to niy ma blank daleko.

ŌMA:

– Niy widzimy sie, bo tyn leber, jejij chop, niy zezwolo... Dzisiej mo jakiś tref z roboty, pyndzjonisty sie trefili, toż doł ij zwola, żeby matka odwiedzić. Można myśli, że jo za chwila do bomboniery trefia. Znac dobry miół humor, ciekawe jak sie ôdegro?

CERA:

– A dugo tak już jes?

MAMA:

– Zawsze ôdkōnd pamiyntōm, myślisz, że czamu jo niy miała kaj is, jak ôjciec sie szlajoł? Jo tyż niy roz od dziadka wciry dostała, niy roz zech ślimtała abo z ojlōm łąziła. Gańba sie było kańś pokozac. Matka mie bronila, niy powiy, ale kończyło sie na tym, że nojprzōd jo dostała, a potym za matka sie zabiyroł... beztōż jak yno mi sie trefiło, to jo zaro z chałpy pitała. Nojprzōd do internatu, a jak prziszol czas, żeby nazod do chałpy is, to sie twōj fater trefił. Ślub my brali na drapko, bo jo blank do dōm nazod niy chciała is. Wykludziłach sie i miałach spokōj. Nawet te jego baby na boku niy były take złe, jak to co by nos w dōma czekało...

CERA:

– A wyście, Ōma, wiedzieli?

ŌMA:

– Przōdzij niy, wiysz jak to je, jak sie modzi wykludzōm. Marta czasym przilaźiła z bandażym abo z rynkōm w gipsie, ale godała, że to sie o szrank pizła, to ze schodōw śleciała, bo w tepich kopła, to zaś jōm keryś w cugu zdugnoł... I tak to leciało... A tyż Erwin poradziōł jōm ôd rodziny ôdegnać... Jak s niōm było fest źle, to ij kozoł do nos dzwonić, że na wczasy jadōm, że żodnego w dōma niy ma. Jōm zawar, a som sie smykoł...

CERA:

– I co, daliście tymu pokōj? Nic żescie niy zrobiły?

ŌMA:

– Co my miały robić, jak ôn jōm durś cygani, naciśnie ij cygaństw do łeby i kopej sie potym z koniy, żeby to odkryncić....

MAMA:

– Co my miały zrobić? Idź, pogodej z babciōm. Ciekawe, co ôna ci powiy...

ŌMA:

– Roz jak było tak naprowdy źle, to my tam z twōjōm matkōm poleciały i tako była ôstuda, że jo w lazarecie wylōndowała, jak mie gichnoł... sama niy wiym kedy zech sie spamiyntała... Dwa tydzie miałach pysk nabrniynty. A ôn potym żodnyj zwole niy doł żeby do nos przilaźiła, a jak my do nich szły i na dźwiy-rze klupały, to udowoł, że ich ni ma... Piżniynty jakiś.

CERA:

– Ale czamu ôna ôd niego niy ôdyńdzie?

MAMA:

– A fto jōm tam wiy? Mono skuli farorza? Abo skuli tego, co ludzie powiedzōm? A można skuli tego, że matka durś przaje ôjcu?

Babcia stoi w progu i sie przisuchuje

BABCIA:

– Niy, niy przaja mu. Jo go niynawidza. Jo już go mom downo pełno rzić. Marza ô tym, żeby sie z nim rozwiysć, ale jak pōdymy do sōndu, to jeszcze jo mu byda buliła piniōndze za te wszystkie lata, co ôn mie utrzymywoł. Do kustu piniōndze ôn dowoł, jo nigdy niy robiła, ôn zawsze przynosił piniōndze, jo swoich niy mōm, to z czego jo byda go spłacać? Powiedzioł, że jak ôdynda, to ôn policjo zawiadomi i ôni mie nazod przykludzom...

CERA:

– Babcio, ale to som brednie. Czamuś ty po policjo niy dzwoniła, jak ôn na ciebie rynka dzwignōł?

BABCIA:

– A co jo im miała pedzieć? Że mie ślubny leje? Dyc to ślubny to może...

CERA:

– A psinco prawda! Niy może! Chop czy niy chop, niy może cie piznōńć i kō-niec! I ty żodnych alimyntōw płacić niy bydziesz! Jak chcesz, to jeszcze dzisiej z tobōm do dōm pojada, zebieresz bambetle i cie przekludzimy. A jutro wydrukuja papiōry, wypiszemy i pōdymy do sōndu i sie z nim rozwiedziesz. I bydziesz miała spokōj. Chcesz?

BABCIA:

– Chca ale jo niy wiym, Majeczko, czy jo moga... a jak ôn sie niy zgodzi?

CERA:

– Babcio, ôn niy mo nic do godki, i powiy ci ciekawszo rzecz: to ôn ci bydzie bulił... Zgadzysz sie? Idymy... Pōdź, niy ma na co czekać, jużes doś s nim szczimała... Jo ci pomoga.

BABCIA:

– Ale jo... ale jo...

MAMA:

– Niy tak drap. Cera, dej to starce przetrowić... to niy ma tak „chup na krowa bydzie ciele”... Zetrwej trocha. Mamo, chcesz trocha tyju? Pomyślisz ô tym? Maja mo recht, doś już mosz tyj mordyngi, a my ci przeca pomogymy. Pomyśl ô tym, a ty, Maja, pogodej yno ô czym inkszym... Czamu to sie chcesz szajdować?

CERA:

– Bo... bo... eh, to gupio teraz tak godać... (*baby patrzōm na nia wyczekujōnco*) No, dobra... bo ōn mie nerwuje... No, wiyecie no... ōn by mi durś na bzdury robił... Mie je lang ciepło, ōkna ōtwiyrōm, a tyn je zaro zawiyro, bo po szłapach dre. Jak jo ōkno zawra, to tyn je ōdymknie, ale do mola, tak że jo zaro musza po jakla lecieć. Przida zmachano z roboty, kaj tyż mie nierwujōm, krzi-że mie bolōm, a tyn: pōdź na szpacyr, pōdź na basyn, pōdź pōdymy kaj na wieczerso... A w rzici mōm tyn szpacyr i ta jego wieczerso, ōn zawsze musi wybrać jakiś restojrant kaj śmierdzi fetym. Ledwie przelezymy przez dźwyrze, a mie sie już dźwigo, ōn se pojy w lokalu, a jo? Dziepiero jak przidymy nazod do dom, umia coś zjeś. A że w lodōwce nic niy ma inkszego, to se zjym ōgōrka kiszonego z miodym. Abo paprykarz z dżymym... A co, niy wolno mi? Przinojmnij tego smrodu pieczonego niy czuja. Jerōna, jak jo by tera zjadła takigo śledzika z dżemikiym... Ōma, niy mocie tam kaj jakij biksy ze śledziami? No, a tyn yno łazi i mi sie przyglōndo. Aj, chopie, złyż mi z ōczōw... A wiyecie, kedy je nojgorzij? W nocy.

ŌMA:

– Tyrpie cie?

CERA:

– A kaj tyrpie! Jo by chciała, ale jak kiej tyn kole ciebie leży, a dycho! O tak (*głōśny wdech i wydech*), przeca w tym łōżku idzie ory ś nim dostać... Nabzdurnik jakich mało. No, same powiydźcie, że z takim niy do sie żyć...

MAMA:

– Padosz hicywele mosz? I na chopa patrzeć niy umisz... A niy myślałaś żeby zrobić se test?

CERA:

– Aj, mamo, jo niy wierza w jakeś testy z babskich gazet... Mysłałach żeby iś na jako terapio ale...

MAMA:

– Test ciōnżowy, gupieloku! Mosz kapszelonta? Zechciołki? Hicywele? Niy zastōmpiłaś ty aby? No, co tak na mie zaglōndosz? Chyba sie seksujecie, ja?

CERA:

– Mamo!!!

MAMA:

– Co „mamo”? Ty myślisz, że yno młodzi sie ōnaczmōm? To sie dowiydz, dziolcha, że take ōmki, jak jo tyż sie seksujōm. W dodatku z twojim ōjcym. Wiysz, to tyn głacaty. Mało tego, twōj fater mi na každo rocznica kupuje unterwesa i potym jōm sy mnie seblyko. Fajnie tak, niy?

CERA:

– Fuj! Żeby mi matka o seksie z ōjcym godała, tego jeszcze niy grali. Jo tego niy chca suchać...

ŌMA:

– To można posuchosz ô tym jak sie twoja Ōmka seksuje?

CERA:

– Ja... yhmm.

ŌMA:

– A co to, ōmki niy mogōm sie ōnaczyć? Dziolcha, życz, a bydzie ci życzone. Nawet na stare lata trefi ci sie absztyfikant, kery lubi tyn szport, a co ważnij-sze, poradzi jeszcze stanōńć na wysokości zadanio!

CERA:

– Ōma, ô czym wy godocie ?

ŌMA:

– Dyc ô seksie, a ô czym? Wiysz, co to je, pra? To je wtynczos jak sagi chop ze sagōm babōm pod pierzinōm... abo na pierzinie...

MAMA:

– Ōma, sztopujcie! Jaki absztyfikant?

ŌMA:

– Edek, tyn z Klubu Seniora. Gdowiec, zachodzi tu do mie. I tak... za sama rynka to sie yno niy trzimiymy. No, co tu dużo godać, bez modryj pile sie niy obyńdzie, ale jak weźnie ta pila, a jak mie ściśnie...

MAMA:

– ŌMA!

BABCIA:

– MAMO!

- ŌMA:
 – Wielge mi mecyje, ōn je gdowiec, jo gdowa, to na co mōmy patrzeć? Kej ōn je za mnōm gupi, jo je mu rada, to mogymy chyba być do kupy?
- BABCIA:
 – I ōn do cia sam tak przīłazi, ja?
- ŌMA:
 – No, łazi, przīłazi, wyłazi, ale niy wiym jak dugo...
- BABCIA:
 – Po jakymu?
- ŌMA:
 – Abo to wiysz, jak to jest z tymi Ōpkami, zima idzie, ukiołźnie kaj, stare gnaty połomie, w lazarecie go do gipsu wsadzōm, a jak zalegnie, to mu sie jake zapolynie płuc przypynto, to i weźnie i kojfnie, beztōż my tak wymyślili, że ōn sie tukej przikludzi. Na co mo łazić tam a nazod? Pōki co, to hyrski je, ale po co ryzykować?
- MAMA:
 – I tak bydziecie razym miyszkać?
- ŌMA:
 – A komu to wadzi? Jego miyszkanie wynajmny, Majeczko, pomożesz nom w tym, ja? Piniōndz bydzie... Yno żeby ludzie niy godali, że na kryja żyjymy, to chyba ślub weznymy. Pieścionek już mi doł. Aleście ôstały paf.
- MAMA:
 – Ōma, mosz ty w barku jeszcze ta cytrynōwka? Moja cera zaciōnżyła, moja matka sie rozwodzi, a babcia hajto... Mosz ta cytrynōwka, bo jo czuja, że takich wieści to jo na sucho niy strowia.

Krzysztof Wacławiec

SCYNA

*Na ścianie szkolno tabula, po bokach pora bankōw ułożonych w rzyndach.
 Na postrzodku scyny zaroz kole widownie wielkie szklanne, dwuskrzydłowe
 dźwiyrze do korzōn otwarte, iże krzydła wystowajōm colkiym przed scynōm
 w kerunku widownie.*

*Aktory majōm oblyczōne t-szyrty z obrozkiym i/abo szkryftym. Piyrszy aktor:
 STOŁEK – lilowo, drugi: BIŌRKO – jasnōmodry, trzeci: ŌKNO – strzybrno,
 czwarty: MŌNITOR – beżowo. STOŁEK na t-szyrcie mo obrozek z zofōm
 i szkryftym STOŁEK, BIŌRKO – ze stołym i szkryftym BIŌRKO, ŌKNO (yno)
 ze szkryftym ŌKNO, MŌNITOR ze szkryftym MŌNITŌR. Pora inkszych
 statystōw (zglyndnie zaproszonych oglōndoczow na scyna) je w biolych t-szyrtach
 – bez szkryftōw, bez obrozkwōw i bez role, siedzōm se na zōli na scynie za bankami,
 fest a fest zoglōndajōm sie.*

*Naprzōd, na chwila aktory odegrowajōm mimiczno godka, tyż gestykulujōm – tak
 coby sprowić wraźynie, coby zasugerować oglōndoczowi, że nastympujōncy dialog
 je fragmyntym inkszej, niyskończōnej dycki godki, kero je dalij kludzōno.*

- STOŁEK:
 – Eli szpetno kobyta niy może pisać wiyrszōw?
- BIŌRKO:
 (dźażni sie)
 – A eli faszysta abo faszystka – może?
- MŌNITOR:
 – Co to za pytaniy. Prosza vos... Prosza, dejcie pokōj.
- STOŁEK:
 – Jo myśla, że ja! No, a ty Mōnitor, jako myślisz?
- MŌNITOR:
 – Nooo..., myśla, że niy mo to znacynio.

STOLEK:

- To inakszyj, eli szpetno kobyta może ostać wielkōm i uznanōm poetkōm? Takōm z piyrszych strōn cajtungōw?

MŌNITOR:

- Co to znaczy szpetno kobyta? Niy ma szpetnych kobyt. He, he. A okrōm tego, jake mo znacynie wyglōnd, jake mo znacynie to, co zewnytrzne przy czystym piynknie poezyje. Jo myśla, że żodne...

BIŌRKO:

- A eli ożyniyl by sie pōn ze szpetnōm kobytōm? Takōm, co sie Mōnitorowi niy podobo?

MŌNITOR:

- Jo w cołkości bych sie niy ożyniyl.

BIŌRKO:

- Ale keby. Wyenklerujcie se. Tak yno na schwol pytōm?

MŌNITOR:

- Suchej, BiŌrko, niy trefyli my sie sam, coby my godali o mie, ale coby czytać i interpretować wiyrsz piyknyj poetki.

BIŌRKO:

- No i widzi pōn?

MŌNITOR:

- Co?

BIŌRKO:

- Godo pōn o piyknyj poetce, a niy o piyknyj poezyje tyj poetki.

MŌNITOR:

- A to niy mo znacynio!

STOLEK, BIŌRKO, ŌKNO – CHŌRYM:

- MOOO!

STOLEK:

- Mo! Bo w cajtungach piszōm niy o jeji piyknyj poezyji, ale o tym jak wyglōndała, z kim sie trefiała, kaj bywała i co miała oblyczōne!

(Mōnitor zruszo ramiōnami, siodo na fynsterbrecie)

ŌKNO:

(ŌKNO mo feler godki – rotacyzm, reranie. A wiyncyj wyražo sie za zorta nijako, ale roz godo głosym kobyty, a roz chopa)

- Kaj! Wynocha mi stōnd! Niy przizwołyloch ci na mie siodać.

(ciszyj, do sia)

Paciulok jedyn!

(Mōnitor odskakuje, stowo pod tabulōm)

BIŌRKO:

- A ty, Ōkno, ty byś sie chajtnyło ze szpetnōm poetkōm?

ŌKNO:

- Niy wiym. Niy wiym eli bych sie chajtnyło, eli bych sie ożyniło. Ale, ..., to zależy od jeji poezyje. Hm, myśla, żeee ja.

STOLEK:

(Stolek idzie blisko siedzōncego na bance BiŌrka)

- BiŌrko, ty gupieloku! Suchej mie teroski. My niy godōmy sam o żyniaczce! Godōmy sam o poezyje!

MŌNITOR:

- No tōż prawie. Czytejmy.

(Mōnitor zaczyno czytać wiyrsz – piyrsze rzōndki)

„Uśpiynie”

Przijdzie zwōntpiynie, ale przedtym uciycha

Uśpiōno, ukojōno przajaniem tkliwym.

Ciepło zmysłowyj izby

Światłym ogrzeje mie od postrzodka,

Połōmie, poczasko czōnki.

Dusza chlipie z uciechy.

A zaroz za oknym sztreka gładko,

Kamiyń przy kamiyniu,

Ciało przy cieie. Parzi lodowato.

(...)

ŌKNO:

- Mie sie podobo ta niywinowatość, świyżość i wieloznaczość. Fragmynt, kaj godo o świetle przenikajōncym jeji istnynie, ogrzywajōncym jeji dusza i – niy bōjmy sie tego pedzieć – o cieple emanujōncym z jeji łōna.

(mocne żōlte światło reflektora na scyna)

MŌNITOR:

- Ja – cielesność mo wielke znacynie w tym wiyrszu.

ŌKNO:

- Piykny.

BIÖRKO:

(trocha jakby nierychtyk)

– Fto?

(po chwile)

Eli idzie odtargać poezje od poety?

STOLEK:

– Ono zaś swoje! Słowo! Słowo! Słowo! – yno to sie rachuje! Czytōmy i godōmy sam o poezje, to sōm zajńcia z poezje!

(ciszyj)

Gupek!

MÖNITOR:

– Prosza vos... A jak wy myślicie? O wiyrzu – mo sie rozumieć?

(zwraco sie do widownie, czeko (za dugo))

BIÖRKO:

– Pewnikym słowo w poezje mo najwyższe znaczynie, ale przeca bez jeji poezjo przeziero jeji kobiycość. Widać jōm w każdym zdaniu. Zresztōm jeji śmierć, tak darymno, tyż mo wpływ na odbiör wiyrsza, je jak przepowiydź tragedyje.

STOLEK:

– Ale obejrzyjcie, żodyn w przeszłości niy zachwycoł sie jeji poezjōm, wszyscy yno godali – a mieli recht – że je zachwycajōnco gryfno.

MÖNITOR:

– No prawie. Eli tak je richtych?

ÖKNO:

– Krōm tego, jo czuja, jo słysza... Czuja ciepło jeji słōw, jak ode matki.

STOLEK:

– Jak ode żōny, kierej nigdy niy bydziesz miało.

(żółte światło gaśnie)

ÖKNO:

– A skōnd wiysz, może byda mieć?

MÖNITOR:

– Ftoś jeszcze? Može chce pedzieć, ..., coś ...

(po chwile cichości)

Eli coś wōm jeszcze sie co podobo? Eli co jeszcze je, na co chcieli byście swrōcić uwoga?

(stowo we dźwiyrzach obrōcōny do widownie, dźwigo rynku w geście zachynty, macho dłōniōm, „wyciōngo” z nich odpowiydź. Odwraco sie do Biörka, idzie doń)

A može prawie niy znojdujecie obmiyłowanio w tym wiyrzu?

(cichość)

Wobec tego...

(godo dźwigniyntym głosym)

Uwożocie, ... Hm. Eli uwożocie, że mo znaczynie to, że poeta bōł kobiytōm?

BIÖRKO:

(szkamro z naciskym)

– Ja.

ÖKNO:

(stowo we dźwiyrzach, opiyro sie o rōma, nachylo sie i zmiyniōnym niskim (mynskim) głosym, kiwo Gowōm na „ja” – tak choby przekōnywało oglōndoczy)

– Jo je żech, ..., my sōm na JA!

(odtōnd ÖKNO roz godo niskim (mynskim) głosym, a roz babskim – kce pokozac niyuzdanie).

MÖNITOR:

– Czymu godosz my?

ÖKNO:

(odwroco sie do Mōnitora, durch stoi we dźwiyrzach i godo niskim (mynskim) głosym)

– Bo je nos moc.

MÖNITOR:

– Aha. A za czym na ja? He, he.

ÖKNO:

(zoglōndo sie na lewo rynku)

– Ōna prawi, ..., że na ja za tym, za czym reszta je na niy.

(po chwile, zoglōndo sie na prawo rynku)

A on iże: niy.

(odwroco sie i dziwie sie na widownia)

Ale on łgo jak dycki. To znaczy, że: ja.

MÖNITOR:

– Ale za czym?

ÔKNO:

– Za tym, iże mo znacznie płeć. Iże mo znacznie to, że poeta je, abo była kobytôm. Mo znacznie, fto pisze wyrsz i jak wyglôndo – tak eli smak, eli jeszcze inakszyj na opak. Sôm jego powłoki fajne eli szpetne, eli je piykny eli można niy, ..., je dziwoki.

(ÔKNO idzie bliżyj Mōnitora i skazuje go palcym, godo ciszyj):

– Tak jak pôn.

MŌNITOR:

(Mōnitor obmijo ÔKNO, idzie ku dźwyrzôm, dźwigo lewo rynku i ryczy znerwowany)

– Jo se wypraszôm! Niy ma zech dziwoki! Yno môm srogo gowa. Sroge oczy i nos! I srogo gymba, coby gośno pedzieć wôm, yjzle! Teroski sôm my na zajyńciach z literatury! Z poezyje! I godômy sam o wyrszu. A niy o tym jak fto wyglôndo. I co mo w gowie na tymat tego jak fto wyglôndo.

ÔKNO:

– Wyboczcie, panoczku. Tak samo, jakosi zy mie wylazło. To wina Biôrka, to ôno piyrsze, ..., to ôno zaczło. Niy chciaôm, Wyboczcie.

MŌNITOR:

– No dobrze, wrocejmy do lekcyje.

STOLEK:

(do Ôkna)

– Ale jako! Ale jak to je, że przistowosz sie i we tym samym czasie niy przistowosz sie. I z czym tak naprowda. Potraciłach zech sie. Już nic niy rozumia.

ÔKNO:

(ÔKNO stowo w dźwyrzach w rozkroku na szagich oporach, ryncce opiyro wysoko na rômie dźwyrzy – jak czowiek wrysowany w koło Leonarda da Vinci, godo (babskim) głosym)

– Wy mie je moc elymyntôw, je zech kobytôm, tak samo jak je zech chopym. I niy ma w tym nic dziwackigo, tak jak moc je wos, tak moc je wos wy mie. Jo niy musza być takôm abo takiym.

MŌNITOR:

– To znaczy je wos wiyncyj?

STOLEK:

(znerwowany)

– A tyn swoje. Ślepy i guchy na wszyjsko, i choby siylôm wbić co ino nowego do tyj kwadratowyj gowy, to niy pokapi.

ÔKNO:

(we tym samym czasie co Stołek)

– Niy musza odpadać.

MŌNITOR:

– No dobrze, eli mogymy już wrôcić do lekcycji? Eli może pani wrôcić na plac?

ÔKNO:

(ÔKNO zmiynio postawa, chyto sie rōmy prostopadle ramiōnami, noga przy nodze na zoli, odwroco sie bez lewe ramie – jak czowiek Leonardo da Vinci wrysowany w kwadrat i godo niskim (mynskim) głosym do Mōnitora)

– To już je kōniec lekcycji.

(ÔKNO odwraco sie do widownie; piyknie sie kłanio)

HEKSER

Kornel Sadowski

PERSŃNY:

Gerard
Jaskier
Heksa
Strziga

SCENA 1

*(Szynk – leje sie piwo, chopy osprowiajōm o szychcie.
Na stole stoi Jaskier i Ńpiywo nowy szlagier o Hekserze)*

JASKIER:

*– Poosprawiać sam musza roztomili wom tu
O szwarnym Hekserze ze Lipin.
Kōzdemu chacharstwu on ino ciul – dup
Niy boł sie w zima ciaplyty*

*We zima wylazi bez mantla na plac
I ryma niy chyto go żodno
Ze heksom sie chyciōł, on bōł dlo niyj szac
Je teroz ta heksa samotno.*

*Tyż strziga drzaźniła Ornontowice.
On pedzioł jak proł sie ze Strzigōm...*

GERARD:

– Ciup te – w tym haźlu tak wonio, że sam chyba byda zrzigoł.

JASKIER:

– Gerard, do pierōna! Żeś mi zdupiōł cało piosynka!

GERARD:

– Te, te! Uwazej se do kogo sam godosz!

JASKIER:

– O! Te. Ty chyba niy mosz wsziskich w doma. I co mi zrobisz?

GERARD:

– Łaža po jakichś szynkach... Zamiast jak fater is na gruba robić. A jakby niy jo, to byś niy mioł żodnego szlagra! Co to je robisz do szpasu.

JASKIER:

– Jakego szpasu... chopie, chopie... Ty sie pieresz, pra?

GERARD:

– Ja.

JASKIER:

– I bieresz za to geld, pra?

GERARD:

– Cosik do kapsi wpadnie.

JASKIER:

– Niy fandzol, niy fandzol – bo mosz piniyndzy jak gorol apluzin. Srogi geld zbiyrosz za te twoje beboki ufifrane. Grafy dajōm geld i tyła. A jo robia ze tych twoich rajzōw szlagry i tyż moga na tym wyzgiernie zarobić.

GERARD:

– Ino... Pōdź sam...

(przesuwajōm sie na bok)

GERARD:

– Czamu take gupoty o mie fandzolisz?

JASKIER:

– Co? Jake?

GERARD:

– Żech sie proł ze Strzigōm?!

JASKIER:

– Jerona no...

GERARD:

– Jo je dopiero poczōntkujoncy hekser – jeszcze żech dobrze niy wyjechoł ze Oberschlesien, a już bydziesz bery pociskoł o mie. Ledwo co my zarobili na te piwo...

JASKIER:

– Za przekludzynie sprawy beboka ze Bobrownik! (rycy na cały szynk) Bōł czas bezrok. Kej wsziske dziouchy z Bobrownik gynau kōždyj nocy, budził ryk! Pierōński ryk! I kōżdo dzioucha miała swyndzenie we...

GERARD:
– Te! Te!

JASKIER:
– ...We gnyk. Baby i chopy z Bobrownik wyforsztelowali nojlepiyj jak ino sie dało...

GERARD:
– Niy zawiela tych nudli?

JASKIER:
– Co?

GERARD:
– Na uszy.

JASKIER:
– E... I wziyni sam wkryfrali we internecu „Hekser – pranie sie z bebokami – oberschlesien – tonio”, wciśli knefel „Enter”

GERARD:
– A možno richtig tak było?

JASKIER:
– I wyskoczył nosz – HEKSER! Gerard z Lipin. Nojlepszy, Nojtońszy, Nojmniyszzy.

GERARD:
– No i co? Mōj fater bōł strzałowcym! Jo mōm jego geny, niy moga być wyższy!

JASKIER:
– Przijechoł na Bobrowniki – a była to rajza ciynżko – bo na DTŚ bōł korek i beztōż wszyndzie wielko raja aut – dej se pokōj. A jak my dojechali, to już ino. Dup. Ciul – tu ona go chciała charnōńć... Ta strziga z Bobrownik. On jij z czuba w gymba... i fertig! Wygroł.

GERARD:
– Ino zaroz! Bo jak my przijechali do Bobrownik to sie okozalo, że to ryczyniy to była rapidouza we rurze z gazu. Stykło ino jōm wyjōńć – co ty fandzolisiz?!

JASKIER:
– Przestoń! Przestoń! Bo sam mi robisz gańba.

GERARD:
– Gańba to zaroz bydzie jak ftoś usłyszzy te twoje fandzolyiny.

JASKIER:
– Te? A ty co? Tyś je dopiero bajorz. Ha! I fto miolby sie do nos przidupić, co? No fto?

SCENA 2

(Do szynku włazi Strziga)

STRZIGA:
– Słyszalach, że je tu ftoś, fto mi ponoć wkuloł wczorej na Bobrownikach!

GERARD:
– Godołech Ci!

JASKIER:
– O pierona, i co teraz? *(włazōm pod stōł)*

GERARD:
– Pierōn wie. Można niy wie, jak sie mianuja.

STRZIGA:
– Tyn pierōn mianuje sie Geralt z Rivii!

JASKIER:
– Co?

GERARD:
– Zawryj sie, gupieloku!

JASKIER:
– Ciebie aby pizło na dekiel? Niy ma GeraLT ino GeraRD. To je czynsty unfal bez te ksiōnżki pofyrtane...

STRZIGA:
– Jak? Gerard?

GERARD:
– Cicho!

JASKIER:
– Ja! I z żodnyj gorolskij Rivii, pierōn wie, kaj to je... ino nosz! Ze Lipin! Gerard z Lipin!

STRZIGA:
– Znocie go, ja?

JASKIER:
– Jo? Niy.

GERARD:
– I coś to napochoł, pamponiu?

JASKIER:
– Dbōm o swoje prawa autorskie!

GERARD:
– Teroz to już wiy, jak sie nazywōm.

JASKIER:
– Ale można niy wiy, że ty – to ty.

STRZIGA:
– Gerard? Gerard...

JASKIER:
– Widziołeś? Ona nawet tego niy spokopi. Langsam.

STRZIGA:
– Gerard z Lipin? Gerard Knobel?! Sam my łazili do tyj samyj szule. Do „jedynostki”!

JASKIER:
– O pierōnie.

GERARD:
– Jaskier, ty mamlasie obdrzistany!

STRZIGA:
– Ja! Gerard! Ciebie, soroniu, poznōm choby w jinym landzie. (*goni go, chce mu wklupać*) I co, giździe? Niy ma Ci gańba takie klachy osprawiać o mie? Mierznie ci sie sam we tych Lipinach? Moga przijechać i mi pokożesz – jakeś mie pocis do zola, ja?

GERARD:
– Co?

JASKIER:
– O ja! Szlagier – „strziga, strziga – chwolno rzic”, drugie miejsce na liscie szlagrōw TVS ze maja. Godolech Ci, co byś dał pozōr na radyjok.

STRZIGA:
– Jo Ci dōm! Pōdź sam ino!

GERARD:
– Langsam, Strziga...

STRZIGA:
– Jo Ci dom Langsam! Abo w tym poprzednim – jakeś to śpyiwoł, ize on co mi zrobiōł?

JASKIER:
– Ja, co wy sam myslicie, ize jo to wszistko umia spamiyntać?

STRZIGA:
– Z rzici rajzyntasza!

JASKIER:
– A ja! to pamiyntōm... „Chwila we izbie byli cisi – Gerard jyj zrobiōł rajzyntasza z rzici.”

STRZIGA:
– Abo kajś to mi wkuloł? Kaj? Na wywczasie we Szopienicach?

JASKIER:
– O ja! „Strziga je gupio afa” – nagroda publiczności na Ślōnskim feście szlagrōw we Szombierkach.

GERARD:
– Ale to niy je sam prowda!

JASKIER:
– Ja – dyć Gerard niy łazi po Szopienicach – pedz jij!

GERARD:
– Jaskier!

JASKIER:
– A po prowdzie. Strzigo, fto jeździ na Szopienice na wywczas? Bydźcie sam poważni.
(*Gerard wyskakuje do kuchni. Jaskier zastawia drzwi ciałem*)

STRZIGA:
– No. Pōnknij sie ino.

JASKIER:
– Ale zaroz, zaroz. Po co wom te nerwy?

STRZIGA:
– Do ciebie nic niy mōm. Ale tego gizda pierōńskiego...

JASKIER:
– Niy ma sie o co nerwować!... Dyć jo wom to pomoga przekludzić. Bo suchejcie mie, Strzigowo... moga do was godać Strzigowo, ja?

STRZIGA:
– Ja.

JASKIER:
– Suchejcie. To wyście dostali wciry na Bobrownikach?

STRZIGA:
– No, niy!

JASKIER:
– Niy. A zrobiōł wom z rzici, niy byda godoł co, na Szopienicach?

STRZIGA:
– Niy.

JASKIER:
– Niy. Abo pocis wos do zola na Bobrownikach? Niy! Widzicie? Wy se ino musicie, Strzigowo, wyforsztelować, że jak jo godôm „Strziga” to je tego... Zbieżność mianōw.

STRZIGA:
– Ale jo sie tyż mianuja Strziga!

JASKIER:
– Jo wiy. Jo wiy. Ino to niy je o wos. Ino o... inkszyj strzidze.

STRZIGA:
– A. O inkszyj?

JASKIER:
– Ja.

STRZIGA:
– O keryj?

JASKIER:
– Co?

STRZIGA:
– No, o keryj?

JASKIER (*cisza*):
– Niy znocie.

STRZIGA:
– Co niy znôm, myślisz, że wiela nos je? Jeszcze na Ślõnsku! Niy fulej ino pedz. Ino prowda!

JASKIER:
– To wsziske sie sam tak znocie? Widziõł fto!

STRZIGA:
– A wsziskich to można niy znôm.

JASKIER:
– I widzicie? Widzicie?

SCENA 3

(*w tym samym momyncie w kuchni*)

GERARD:
– O ciup. Wiedziõlech. Że tyn paciulok jeszcze na mie jake chacharstwo ściõngnie. Do pierõna...

HEKSA:
– Chacharstwo, to ty som, Gerard, na siebie ściõngosz.

GERARD:
– Ftoś tu je?

HEKSA:
– Je żech... Je żech zowdy, jak bieresz luft. Je żech, jak sie spać kładziesz. Je żech, jak mosz fiber.

GERARD:
– Zagadka?! O ja! Lubia... A jak ryma i kucõm tyż?

HEKSA:
– Je żech... Coś ty pedziõł?

GERARD:
– Czy jak ryma i kucõm to tyż. Bo żech sie pomysõł. To je może i gupie, ale iże ćma w tyj kuchni jak w rzici i ty mi godosz tako zagadka.

HEKSA:
– Co?

GERARD:
– No, zagadka! Choby tako – Niy mo widzynie – a bado. Niy mo widzenie, a mo ślyp! Co to je?

HEKSA:
– Co?... Komputer?

GERARD:
– Niy. Wasserwoga.

HEKSA:
– Jakiś ty je gupi. Chciałach Cie wystraszyć, ciulu! Ale nawet to mi niy idzie. (*zapolo światło i siado na ryczce załomano*)

GERARD:
– Te... I co rycysz? Ftoś Ci coś zrobiõł?

HEKSA:
– Ja! Ty.

GERARD:
– Jo?! A my sie znõmy?

HEKSA:
– Niy! Aleś naosprawioł gupot, że... Że...

GERARD:
– Że co?

HEKSA:
– Że... że...

GERARD:
– Jerōna, no godosz abo niy? Bo mie Strziga goni, a jak łapnie to byda miōł z gymby ciasto na gumikleizy.

HEKSA:
– Że jo... jo... Jo poszła na Katowice na chyt. Ale, że mōm krziwy kichol to żodyn niy chcioł zy mnōm tańcować. A potymś pedzioł... Iże skuli tego nosa wyglōndom jak sroko-papagaj.

GERARD:
– Jo tak pedzioł?

HEKSA:
– Ja! We szlagerze było na TVSie.

GERARD:
– Jaskier, do pierōna. Niy ryc... Hekso. Dej se na luz. Luftu nabier, o. Wiyncyj mozesz luftu nabrać – z takim kicholem. Niy, niy... Spokojnie. To bōł wic ino. No...

SCENA 4

(szynk)

JASKIER:
– I godōm wom, Strzigo, iże o vos tyż moga coś szrajbnōnc...

STRZIGA:
– Niy! Jo to już mōm doś. Durch sie we TVSie pojawio: a strziga to! a strziga tamto. A jo bych tak ino chciała tak: Przilyż do dom po robocie. Co by ftoś już czekoł na mie we kuchni i warzył. A już bych to, co je na kachłoku zawoniała wpierw. I bych ino prziszła po szychcie i pedziała: te, chopie... co tam sam warzicie? A on powie – rolada.

JASKIER:
– Ale to szukocie chopa, do warzynio?

STRZIGA:
– A tam chopa. To już richtig niy musi być chop! Bo wycie, Jaskier, co je we życiu nojgorzyj?

JASKIER:
– Ja... Obalić sie napranym w gulik.

STRZIGA:
– Niy! Być som!

JASKIER:
– Ja. Mocie recht – ale to wtedy tak richtig nojgorzyj bydzie sie obalić w gulik i być som.

STRZIGA:
– Fandzolicie, Jaskier, take pierōnske gupoty. A co byście o mie poradzili napisać?

JASKIER:
– O rajzach! O przigodach! O praniu sie.

STRZIGA:
– Pokoż sam heft.

JASKIER:
– Niy, niy... (wrywo mu heft) a...

STRZIGA:
„Na Gerarda naszego ze Lipin prziszło ciulstwo gupie jak Ipi. Szybko przijechoł, bo niy mo sam ruły. A strziga mo krziwe Uły”?!
Co to mo być!?

JASKIER:
– Tym to sie sam niy sugerujcie, Strzigowo. To je ino wic... i niy o vos.

STRZIGA:
– Kaj je tyn pierōn Gerard! Jak go ino chyca!!!

SCENA 5

(kuchnia)

HEKSA (ślimto):
– Ijee...

GERARD:
– Prześōncie... Hekso...

HEKSA:
– Naosprowane je o mie tyla, że jo niy umia se tych cygaństw wyforsztelować. Wpierw bōł tyn szlager „Heksa je szpetno” i to już mie znerwowało fest. (wstaje i sadzo Gerarda na rycze) A teraz bydziesz siedzioł tukej i wymyśloł gryfne poezyje o mie!

GERARD:
– Co?
HEKSA:
– Abo możesz sie sam żegnać z życiym! Czekōm! Może być oparte o tyn szlagier...
GERARD (*biere koncek kartki i blaj*):
– A pamiyntocie, co tam było?
HEKSA:
– Ja! Że oczy mōm świdrate!
GERARD (*kryfło na kōncku tyj kartki*):
– Ślypia mo... gryfne...
HEKSA:
– No...
GERARD:
– Jo niy poradza!
HEKSA:
– Ale fandzolić we piosynkach to już poradzisz! Niy nerwuj mie!
GERARD:
– To niy jo... Do pierōna...
HEKSA:
– Bo Ci zaroz tak wkulom...
GERARD:
– Chwila! Dej mi chwila...
HEKSA:
– I bōło tyż tam, iże mōm zoty zōmb. A je niyprowda! Bo mōm dwa!
GERARD:
– Heksa z Halymby... mo dwa zote zymby...
HEKSA:
– No i co dalij...
GERARD:
– A co dalij! Jo piyrszy roz w życiu pedziołech coś, co sie rymuje!
HEKSA:
– To możesz jeszcze o mojij weli... Bo byłach u frizera.
GERARD:
– Ale hekso... Jo niy umia...
HEKSA:
– Godej wiersz!

GERARD:
– Już mie zaczyno szterować ta heksa...
HEKSA:
– Co?
GERARD:
– Nic... Dejcie mi chwila ino, ja? no...
„Gryfno je Heksa z Halymby. Fajne mo ślypia i mo dwa zote zymby...
Wela jyj rozwiano na słońcu blynduje – A jak ftoś na nia spojrzy to sie lepij czuje
Bo fajno z niyj dzioucha – koźdyn to wie
Ino prowda teroz musza pedzieć Tobie...
Gryfno by była ta Heksa z Halymby – jakby jyj kichol niy bōł taki wielgi”
HEKSA:
– Ty pierōński giździe! Pōdź sam!
(*ciepie sie na niego. Gerard ucieko nazod do szynku*)

SCENA 6

(*otwierajōm sie dźwiyrze do kuchni, Strziga i Heksa wpadajōm na siebie
– Jaskier i Gerard chowajōm sie pod stołami.*)

HEKSA:
– A ty fto? I kaj je Gerard?!
STRZIGA:
– Pitnoł? Jo go zabija.
HEKSA:
– Niy. Niy ty. Jo go piyr szo badła...
STRZIGA:
– Niy bydziesz mi godać, fajnikicholu, co mōm robić, abo na co sam czekać.
HEKSA:
– Co? Tyś pedziała, iże jo mōm fajny kichol?
STRZIGA:
– No. Fajny. U nos to take kichole to nojbardziej... Poczkej. Ty niy wiysz fto jo je?
HEKSA:
– A mōm Cie znoć?
STRZIGA:
– Strziga! Śpiywoł o mie szlagry.

HEKSA:
– Niy.

STRZIGA:
– Ja! I cyganiōł w nich, że mi wkuloł!

HEKSA:
– Jo niy mōm w doma TVS, ino mi pokazali o mie szlager.

STRZIGA:
– Co? O ciebie tyż zrobili piosynka?

HEKSA:
– Ja! I wierza, że on tak robi, pampōn pierōński, że biere fajno, uczciwo i gryfno baba i naosprawio o nij gupot...

STRZIGA:
– Że jij wkuloł.

HEKSA:
– Że poszła na chyt

STRZIGA:
– Że z rzici robi jij rajzyntasza

HEKSA:
– A jo to bych chciała ino siednōnc se na rycce... Uwarzić cosik. Rolada jakoś...

STRZIGA:
– O ja... zjadłabych. Od tego cyganiynio tych dwōch gizdōw mōm głōd.

HEKSA:
– Ja...? A co sam, Strzigowo, robicie... Terozki?

STRZIGA:
– Nic. Po prowdzie.

HEKSA:
– Bo mōm jeszcze zista z rapidouzy w doma. Wiela niy ostało.

STRZIGA:
– Ale tako zista...

HEKSA:
– To pōdźcie, bydymy sie sam przejmować klachami.
(Heksa i Strziga wychodzōm)

(wyłazōm spod stołu)

GERARD:
– Polazły?

JASKIER:
– Ja. Idōm, sie trzimiōm za rynce. Hned se kusika bydōm dować. Widziołeś? To przoniy, kere wyrosło na poezji...

GERARD:
– Mogłech jak fater is na gruba... Co mie podkusiło!

JASKIER:
– Na gruba... Na gruba!!! *(wyciōngo nowy heft i pisze)* No to zaczynōmy nowy heft i nowe osprowianiy.

GERARD:
– Jakie?

JASKIER:
– Jak to Gerard z Lipin – hajer, Roz Skarbka za gnyk po ćmoku chyciōł że aż Skarbek swojo taszynlampa straciōł Tak wom godom – ale tak go sproł Że Skarbka już żodyn niy widziōł!

GERARD:
– Jaskier, do pierōna!

GERDZIKOWE SPŌMINKI – ŹYCIORYS WŌNGLYM PISANY

Wanda Kędzielska

PERSŌNY:

Gerdzik

PROLOG

(Pokój, w pokoju kanapa, kilka krzesel. Duży, okrągły stół.

Pod stołem duży dywan.

Na stole szklanka z herbatą. Naprzeciw stołu telewizor na szafce.

Obok telewizora, na półce ściennej, górnicze czako z białym pióropuszem.

Na kanapie siedzi starszy, siwy mężczyzna.

W jednej ze ścian otwarte drzwi do innych pomieszczeń.)

GERDZIK:

– Siedza se po obiedzie we izbie na zofie, ôglōndōm „Wiadomości”... Szpetny cwerg cosik godo... „Ślōnzacy to ukryta opcja niemiecka... Na Ślōnsku jest duże stężenie patologiii...”

No sto pierōnōw!!!

To my degeneraty sōm ?!!!...

– Ô pieruchu! Cilka rycy, co mōm ta kista wylōnczyć, bo zaś wylōnduja na Ochojcu.

– Ja, Kociku. Już gasza.

(Wstaje, gasi telewizor i chodzi dookoła stołu.)

Łaża i myśla.

Wiele to lot żech na grubie fedrowoł...

Świōntek, piōntek... „Wydobyciy... wydobyciy...”

„Górnicza brać wydobywa czarne złoto aby Polska była piękna i wielka”... – tak stoło we „Trybunie Robotniczej”... A teroz... Siwy łeb... pora styntōw, dwa by-passy...

Dziesiyńc pigułkōw rano i ôziym na wieczōr...

I to jo jes ta patologio?...

– Ja, Cilka, szpacyruja i krokōmiyrz tyż mōm...

SCENA PIERWSZA

Gerdzikowo piyrso szychta na grubie.

(Chodzi wzdłuż pokoju. Od czasu do czasu gestykuluje.)

GERDZIK:

– Uczył żech sie we Technikum Górniczym we Chorzowie. Karlusy niykere już zacynali sie golić... Ciōngło nos kajś... można do kina, abo do kawiarnie, ale za co? Mamulka szporobliwo byli, na gupoty kasy niy dali! We sztyrech ze Zołynżo, co my sie w kupie trzymali, napisali my ô sztypyndium. Żodyn niy dostał – nasze ôjce mieli za wielgie (o pora złotych) zarobki.

Jedyn ze kamratōw pedzioł, iże idzie cosik zarobić na grubie. Piyrso szychty na dole mieli my już za sobōm, no to czamu niy?

We sobota, po szkole, we sztyrech, pojechali my bankōm ze Zołynżo na Kopalnia „Wanda -Lech” we Nowym Bytōmiu, robić za „obco załoga”. Ôd bramy poszli my prosto do cechownie, na ławkach siedziało już pora synkōw, kere tyż chcieli se dorobić. Z biura na cechownia wloz cwerg we ancugu – mocka ważny, i zapytoł: – Kto dziś do pracy?

– Potrzebujemy dwudziestu ludzi.

Wstali wszystkie...

Cwerg zebroł nos do magazynu, ôtwar dzwiyrze i pedzioł:

– Do pracy przyjmę pierwszych dwudziestu, którzy przebrani, ustawią się w szeregu na Cechowni, reszta będzie się mogła za darmo wykąpać w naszej łaźni.

I poszoł nazod na cechownia. Jezderkusie! Co sie we tym kamerliku dzieło, to ino Dante mōgby ôpisać. Wyszarpoł żech galoty, jedny nogawice bōło ino pōł; potym hełm i gumiszuły!

Hełm lotoł mi na gowie, a gumiszuły byli pora numerōw za wielgie, ale bōlech pierōnym rod, żech to wryngowoł! Teraz pierōnym gibko do cechownie.

Jak my już jedyn wele drugigo stoli na cechowni, choby na jakiś wojskowy paradzie, cwerg we ancugu odliczył ôd szpicy piyrso dwudziestka.

Szafla my: jo z moimi trzema kamratami bōł rajn! Teroz pod kōmynda wziōn nos Przodowy: we markowni dostali my znaczki, i pochłaniacze ucieczkowe, a we lampiarni „bōmby” – lampy przeciwwybuchowe, używane na grubach, kaj bōł metan. Kōżdo ważyła 2,5 kilo!

Jakżech jōm wziōn do rynki, to mi sie kolana ugli... Zjechali my szolōm na dōł. Przi dojeździe do 620 myjtrōw klotka bez pora minut dyndała, choby gōndola we Lunaparku... Gupie uczucie... Wysiedli my ze szoli, przeszli pora krokōw i... rycymy z bōlu, a jo nojgłōsnij!

Spōng wysypany bōł kanciastym kamiyniym, a nasze gumiszulę miały zole ciynkie choby listek papiōru... Przodowy pedzioł nōm, coby szłapy ôwinōnc płōtnym jutowym, z kerego na grubie robili tamy podsadzkowe... Zaroz nōm ulżyło! Na felezunek szli my ze sztyry kilometry. Kamraty poszli do ściany, a mie sztajger przidzielił do strzałowego, ze kerym upadōwkōm doszli my na końcōwka taśmy. Strzałowy ciepnoł sie na taśma i pojechooł...

Jo sie bōł ciepnońc za nim, prōbowołech wlyżć na taśma poleku. Postawiōlech noga na taśmie i szkopyrt! Leża na taśmie choby kyns wōngło i jada. Hełm śleciōł mi z gowy i pojechooł, lampa wyleciała mi z rynki i spadła na kupa wōngło... Za chwila jo tyż spod ze taśmy na zol choby miech kartofli...

Padali, co mōmy gowa ôchraniać... Seblykłech jakla i owinoł niōm gowa.

Po tym, na sztyrech do lampy, kero świyciła na kupie wōngło. Jeszcze żech do nij niy doloz, kedy nazod przyloz strzałowy i już z daleka zacōn ryceć!

– Ty pierōński giździe! Ty podciepie... jo cie szukōm, a ty... – wtyncos dziepiyro mie uwidzioł i zacōn sie śmioć. Ludzie! Jak ōn sie śmioł, jak ōn sie śmioł!!

A na kōniec pedzioł: – Już żech wiela na grubie widzioł, ale beduina jeszcze niy... – i zaś w śmiych!

Szoł żech za strzałowym, ale jak mi bōło gańba, to sie możecie ino forsztelować... Na przesypie ôddali mi hełm, kery tam taśmōm przywandrowoł. – Lecisz nōm piwo na wiyrchu – co żech mioł pedzić? Przisli my do przodka, strzałowy uszczelił pierōnowo kupa wōngło.

– Ładuj to na panczer – pedzioł i poszoł... Szufłowoł żech tyn wōngel hercōwōm, choby mie sto diobłōw gōniło. Gańba mi bōło... Pierōńsko gańba. Za dwie, a można i dwie i pōł godziny, strzałowy prziszōł nazod: – Aleś sie, synek, uwinoł! Jak ci tak dobrze poszło, to strzylōmy jeszcze roz. Strzylił jeszcze roz i poszoł, a jo, na miyntkich nogach, szufłowoł dalij...

Kōniec szychty... Pierōnym chciało mi sie pić. Co miolech w bańce, downoch wypił, pył wōngłowy zatykoł nos i gardło... Razem z kamratami szli my upadōwōm na wiyrch, kaj wele felezunku stoli beczki ze kawōm zbożowōm. Kawy brakło... zostały ino fusy do wycyckanio...

Byli my już blank kaput. Siedli my se pod sztusym, coby trocha dychnōnc. Za chwila musieli my sie zbiyrać, coby dowlyc sie do szybu i wyjechać na wiyrch.

W drodze pod szyb z kożdym metrym bōło mynij gorzko i bardziej wilgotno... Trocha sie lepij ôddychało i launa była lepszo, jednak pić nōm sie chciało jak sto pierōnōw!

Po wyjeździe na wiyrch polecili my do „kawiarnie”, kaj cało doba z kokotkōw loła sie kawa zbożowo abo miyntowo herbata. Ciepłi my sie do tych kokotkōw i pili my, pili... choby kamele na pustyni... We łaźni wziyni my prysznic – nojpiykniyszo rzecz na świecie!!

I gibko na cechownia, kaj czekoł na nos cwerg we ancugu.

Wyciōngnoł piniōndze z westy i koždymu wypłaciōł po 100 złotych zaliczki, a reszta mieli my na piytnostego we kasie!!! Czerwōny, nowiuški papiōrek, a wiela uciechy!

Mogli my iść do „Cafe Szportu” i besztelować najdroższo kawa mrozōno abo kawa adwokat, ze żōłtkym i chińskim kōniakiym, potym iść ze lipstōm do kina, a potym... fto to wiy...? A teraz na banka, koždy chyciōł po kuloku i na banka! Jak my dolecieli, pokozała nōm ino zadnie światła... No to musimy ze Nowego Bytōmio walić piechty do mijanki tramwajowyj we Świyntochłowicach. Szczewiki mi sie zamotlali i rymnōł żech w trowa, a kulok, coch go mioł pod pażōm, poleciooł... Chciołżech za nim, ale kamraty ryceli, co mōm go ôstawić, bo nōm zaś banka citnie.

Ledwo my tam prziszli i siedli na ławce, a tu jakby spod ziyymi, zjawiło sie dwōch milicajōw: – A kawalerka skōnd?

– My z gruby, po szychcie, dyć mōmy klocki.

– Noo, wy trzej macie. A ten czwarty miglanc? Z lumpki??

Kamrat ôbrōciōł mie, podciōngnoł mi do karku koszula:

– A to ōn mo od szplitrōw, abo niy? Bōł we robocie, abo niy?

Milicaj podejrzliwie popatrzoł i pedzioł:

– Noo, tak... to już idźcie do tego dōmu.

Za chwila przyjechała nocno banka, kerōm dowlykli my sie na Żołynze.

Kłupia na dźwiyrze.

Ôtwiroy Mamulka i... bez godki chlast mie w pysk!

– Ty podciepie jedyn, kaj to sie tak dugo smyksosz!

– Ale Mamulko...

– Ty sie zapamiyntej: w naszej familii niy było ani ôżyrokōw, ani lumpōw, ani śmierdzirobotkōw. Niy było i niy bydzie! Teraz spać a jutro pogodōmy!

I chlast mie z drugij strōny... Pryndko żech sie poseblykoł i fuk do prykola, społech twardo, aż do polednia...

SCENA DRUGA

Gerdzikowy Zilwester na grubie.

GERDZIK:

– Tego Zilwestra niy zapōmna... Cilka, kwiotuszku mōj, jak jo Ci bōł wdzynczny, coś mi wtedy niy wkułała! Jo bōł zicher, co pora tydni byda lotoł po Zołynżu z blałym ślypym.

(śmieje się cichutko, patrzy w stronę otwartych drzwi i podejmuje swój spacer po pokoju)

We tego pamiyntnego zilwestra, siedzioł zech se rano na ryczce i mocoł nogi w ciepłyj wodzie z mydłem coby mi hinerałgi przy tańcowaniu niy dokuczali. Wziyno mi sie na spōminki:...

Na inauguracji roku szkolnego derektor Techikum Gōrniczego padoł do nos:

– My was tu wyszkolimy na Oficerōw gōrnictwa.

Jake my byli sztolc! We Technikum mi sie fest podobało. Skończōłech je z bardzo dobrymi notami. We ôstatni dziyń, żegnali my sie z Rechtōrami. Jednego zech zapytoł, eli mōm jake szanse na Politechnice. Podziwoł sie na mie znad bryli, podnios palec do gōry i pedzioł:

– Ty MUSISZ iść na Politechnika. Musicie sztydyrować, coby na grubach zarzōndzali Ślōnzoki, a niy kneble prziniesiōne w tasiach, co ô robocie pojyncio niy majōm. No! Lecioł zech do dōm choby na krzydłach! Byda sztydyrować! Jak to mamulka usłyszala, zaroz mi nazdała.

– Ty frechowny giździe! Robić ci sie niy chce! My ci wszystko dowali, cobyś skończōł ta szkoła i poszoł do roboty! Co, ty niy wiysz, iże twoje braciki sōm jeszcze w szkołach i tyż musimy ich wspōmogać? Mōno zaroz byś na derektora chcioł iść, ty śmierdzirobōtko?!

– Ale to niy tak gibko, noprzōd byda sztydyrowoł...

– Sztydyrowoł i sztydyrowoł, a ôjciec bydzie ciyngiym na ciebie robił?

– Jo byda sztydyrowoł...

Ôjciec kiwnoł gowōm. – Spanie i jedzyniy ci dōmy, ale ô reszta to sie musisz sōm postarać!

Korepetycje zech dowoł, we spōłdzielniach sztydynckich zech dorobiōł, a we wakacje – na grubie! I sztydia zech szafnoł! Teroz zech je nadsztajger, na nojnowocześnijszym ôddziale na grubie... Nogle ftoś zaklupoł do dźwiyrzo. Z mokrymi szłapami ôtwar zech; we dźwiach stoi dyspozytor z gruby i pado:

– Z polecynio dyrektora mosz pozbiyrać ludzi i fedrować na zmiana popołedniowo. Trefiymy sie na grubie.

– Ôgupioł żeś! Przeca ze Cilkōm idymy na Zilwestra! Jes już u frizera, a za klajd we Modzie Polskij dała mocka piniyndzy i dwa wielgie pakety bōnkawy, coby go dostać!!

Co jo jij teroz powiym?!

– Niy chciołbyś słyseć, co moja pedziała. Szolki i widełki mi wele gowy lotali... Gruba jest „pod planym” ! Ino twoja ściana poradzi tela nafedrować za jedna zmiana!

Co było robić?? Ôkropnie żoł mi było Cilki... Tak sie na ta zabawa radowała...

„Były czasy, kiedy niewolnikōw trzeba było legalnie kupować” – tak Lec pedzioł... Na ja... Siod zech na ryczce wele telefōnu i kōmbinowoł jak to terozki pedzieć moimu przodowemu... „Oficer gōrnictwa”... czysty wic! Miołzech ciynżki ôddzioł, wysokometanowy, zagrozōny tōmpniynciami... ale załoga była dobro. Zowdy szło na nich rachować.

Ôstatnio normy wydobycio rosły choby baby wielkanocne! We kraju robiyło sie coraz gorziz. We kōnzōmach już wszyskigo brakowało. Baby niy roz cołko noc stoły, coby kōnsek masła abo margaryny kupić... Czarne złoto, kere my ufedrowali, to byli nojlepsze dewizy.

Zebrołech sie w sobie i zadzwōnioł do przodowego. Możecie sie forsztelować, co zech ôd niego usłyszōł. Ale jak ech zech ôbiecoł halba, zaroz zmiynioł godka:

– Jak mus, to mus – pedzioł ino. Po drodze na gruba kupiōłzech ôbiecano halba... dyć Zilwester! Chopy sie gibko uwinyli! Po szychcie zebrali my sie we ôgrōdku. Podziynkowōłech im zech za robota i postawiōłech ôbiecano halba. Za chwila patrza, a koždy z nich tyż wyciōngo po halbie... Jak zech sie dostoł do dōm – niy wiym...

Ôbudziło mie larmo za ôknami, srywōm sie z prykola i gibko ôblykōm ancug. Wkurzōno Cilka stoi z boku i pado:

– Legnij sie nazod, Zilwestra żeś przespoł. Mōmy Nowy Rok...

Mōmy Nowy Rok.

SCENA TRZECIA

Gerdzik kapitalista

GERDZIK:

(Przestaje na chwilę chodzić i woła w kierunku otwartych drzwi)

– Cilka, pamiyntosz, jak żeś chciała, coby my sie z bajtlami wykludzili ze Katowic na kajś na świży luft?

To bōło nojlepsze, co my zrobili... Tempora mutantur – czasy sie zmyniająm – tak godajōm...

Nogle, wōngel juź niy bōł czornym złotym... Zrobiōł sie smrodlawy i szkodliwy do zdrowio. Wroz ze ōpōm i ōjcym przefedrowali my sto lot na grubie!!! Jak my to przeżyli?!

Nastało eko! Kozali wyciepować kachloki i ciōngnōnc gaz...

Na grubie restrukturyzacja gōniła restrukturyzacja. Łōnczyli gruby i zawiyrali, derechtorōw zmiyniali aże w ōczach migāło... Starszych gōrnikōw wyciskali na pyndzyjo, a dlo modszych wynokwiyli diobelski plan: Koźdy, fto podpisze deklaracja, co niy bydzie robiōł na żodnyj polskij grubie, dostanie sztyrdziści tysiyncy! To bōło mocka piniyndzy – leko rachujōnc – zorobek za rok fedrowanio! Kupa bergmōnow sie na to chyciło...

Chopy ōroz dostali mocka piniyndzy... Niykere pootwiyrali geszefty: knajpki, co sie teraz nazywali – puby, sklepiki i inksze...

Inksi ōgupli ōd tego bogactwa: pokupowali pierōnym droge auta, wielge telewizory – plazmy! Lotali fligrami na Majorka i inksze Kanary, abo pili na umōr. Wartko im sie te piniōndze skończyli, a roboty nikaj niy mogli dostać, bo ino fedrować poradzili... Kupa niyszczynsio z tego bōło...

Po trzidziestu trzech rokach roboty poźegnołech moja kochano gruba... W inkszych czasach mogbych sie teraz grać w skata abo jechać do kurortōw. Ale niy teraz!

Pora lot tymu zostali my dziadkami, cera na wychowawczym, a ziync robi na grubie, kero za chwila majōm zawiyrac. Cilka juź ōd downa chyciła się roboty, założyła firma i zacyno sprzedować we swoim kiosku spożywym „Macius”, ōchrzcōnym tak na pamiōntka naszego wnuka. Niy możecie sie forsztelować jako ōna była gupio za tym swoim „Maciusym”. Wstowała we postrzodku nocy, siodała do auta i jechała po towor na giełda, a potym pryndko po ciepły chlyb do piekorza. Jak rano ludzie szli do roboty mogli juź kupować świżyże żymyły, chlyby i inksze wyroby ōd piekorza, a wnuczek miōł świżyże mlyko. Niydugo po tym zostali my dziadkami drugi roz – cera urodziła wnuczka Magda. Z jednyj strōny my sie bardzo radowali, ino martwili my sie, jak sie modzi poradzōm, jak zawrōm Klyjofas. Kaj ōn bydzie robiōł? Naradzili my sie ze Cilkōm, co musimy sprzedać kiosk i ōtworzyć jakoś mała knajpka.

Znajōme dali nōm znać, co idzie tōnio kupić niywielgo restauracja w małyj miejscowości podbeskidzkij. Pojechali my tam. Piykno ōkolica, rzyka, gōry... do ōdpocynku na pyndzyji lepszyj bych niy znod. Restauracja była w downym Kōmisariacie Milicji...

To bōło choby wic!

Jo ino roz, jak zech kulok straciōł, godoł z milicajami, a teraz, we izbie na kōmisariacie w nocy miołzech ze Cilkōm figlować. Można we izbie samego Kōmyndanta?

(śmieje sie cichutko)

Na piyrszym sztoku nojwiynkszo izba bōła dlo mie i do Cilki, a te mniysze do cery ze bajtlami.

Jo sie umyślił, co ze wielgigo zalu na dole zrobia gruba! Ze Klyjofasa kupiōłzech sztapel sztōmpli, fele do wykładki stropu, dwa stare wozy i pora karbidek...

Przewiyżli my to na miejsce i razym ze dwōma emerytowanymi bergmonami zabudowali my cołki zal choby na grubie... Ino ōkna my ōstawili.

Teraz zech miōł tako gruba, ō jakij koźdy marzył – były w nij ōkna z piykny widokiy na rzeka i gōry! Co rano siedziōł jo sie przed ōknym ze szolkōm bōnkawy i ōglōndoł gōry, kere myniły sie we słōncu... Godōm wōm, fajny blik to bōł... Z pocōntku szło nōm fajniście, klijynty nojbardziej chwolili rolady ōd Cilki! Ino jak w lato zrobiło sie gorko, ze deki zacli spadować raupy, kere sie wyhodowały na felach... Jerōnie! Co sie tam dzioło! Klijynty uciekali, raupy ślatowali na stoły, talyrze i gowy, my przeproszali i gibko śmiatali te pierzińske raupy... No, godōm wōm: sōndny dziyń!

Trocha to trwało nim zech wpod na to, co sie porobiōło; na dole we grubie było zimno, to raupy schowane pod korōm niy miały szans przeżyć. Tukej było wilgotno i ciepło, beztōż raupy zaccli sie rozmnożać choby Kitajce. Musieli my zawrić restauracja, posymować z gipsdeki wszystkie fele razym ze sztōmplami. Dropali my śnich we ōgrōdku cołko kora, a potym szmarowali substancyjōm, co śmiedziāła gorzi niź jagodzianka na kościach... Pora dni minyło kej mogli my zaś ōtworzyć naszo „Gruba”. Poleku wracali nasze klijynty... Niykere pytali sie eli majōm paryzole ōtwiyrac, coby sie ōchrōnić jakby raupy zaś ślatowali... Pośmioli my sie. I zaś szło... Minyło pora lot, wnuki podrośli, ziyncia alokowali na inkszo gruba, a my ze Cilkōm ōstali sami. Cilka warzyła, a jo robiōł za kelnera...

Tak dugo my robili, aż zaccli sie choroby.

Niy było juz siły coby robić 12/12 godzin; sprzedali my interes i nazod do Katowic, ku dzieciōm, wnukōm i prawnukōm.

(Gerdzik siado na zofie. Pije tyj.)

GERDZIK:

– Żyjemy se na tyj pyndzyi. Cera, wnuki i prawnuki ôdwydzajôm nos – moc-ka uciechy!

Trocha szpacyrujemy. Trocha telewizyji tyż ôglôndôm; naszônal dziografik, abo historyczne... no i wiadomości, ale rzodko, bo Cilka ryczy, co môm sie niy szterować.

Pora lot tymu, na niemieckim cedeefie, można to bôło aerde, pokazali jak zawiyrali ôstatnio gruba we Niymcach... Piykny to bôł fest! Wielgo ôrkestra gôrniczno grała – cheba symfônikôw przeblykli we gôrniczne mundury, bo tak piyknie grali. Moje ulubione maj lej tyż grali!

I godali fisze ze rzôndu i ze Bundestagu... I dziynkowali. Dziynkowali gôrnikôw za jeich cijnzko robota.

– Za to, co we szpitalach bôło ciepło i jasno i doctory mogli chorych lykować.

– Za to, co we szkołach bajtle mieli ciepło,

– Za to, co we miyszkaniach ze kokotkôw leciała gorko woda...

Piykne to bôło... ôcy mi sie spocili... Nôm zodyn niy podziynkowoł...

We szuflodzie, leży poranoście rôznistych blaszek we piyknych kastliczkach...

To byli te bônbôny, kere miały nos ze grubôm zeszfajsować. Byli my jak te psy na kecie, kere na każde zawołaniy przilatujôm... Teraz wôngel niy potrzebny, to i gôrniki niy potrzebne... Coroz wiyncyj na dachach czornośrybnych ôkiyn, kere chytajôm słońce. I farmy wiatrakowe rosnôm... Nowe idzie...

Eli to źle? Niy wia. Downij zodyn se niy forsztelowoł, co kara bez kônia pojedzie. A teraz, niy idzie sie życie bez auta forsztelować. A na kôniach rajtujôm ino ludzie bogate... Można niy jes blank źle, te nowe... Bajtle po szkołach niy pôdôm na gruba robić, ino inkszo robota znojdôm. Bydôm sztudyrować te nowômodne informatyki abo inksze... Bydôm jeździli po Ojropie... I niy bydymy sie wiyncyj starać, coby szczynśliwie z gruby na wiyrch wyjechali.

Możno niy jes blank źle, te nowe...?

Ino trocha żol tych „oficjyrôw gôrnictwa”, Barbôrka tyż już niy bydzie tako sama... Ale można nikt już niy bydzie nazywoł robotnych Ślônzokôw patologio. Patologio... Patologio...

(Podchodzi do kanapy, chce usiąść, ale zsuwa się na dywan)

Cilka, wołej... erka...

(Na scenie gaśnie światło).

IREK WIDERA

(ôsprowka ô Tyjo Logicznym, kery sie bez cufal ze Pônbôczkiym i takim jednym trefił)

PERSÔNY:

Łucjan Pyrek (a tak rychtig Lucek, Lucek Pyrek) moderny chop, taki, co to mo zowdy nafolowany portômel, mobilniok prziklajstrowany sztyjc do ucha, trzecio ślubno dwajścia lot modszo a cołko hôrma szykownych lipstów na każde skozanie, srogo chałpa wele lasa ôkolôno sztrekôm ze erdy a bergôw, autok na elektryka, szterdziści sztyry ancugi we szranku i je powadzôny ze wszyskimi naôbkoło, yno niy ze Pônbôczkiym, bo z Ônym Lucek wziôn szajdông, jak broł szajdông ze piyrzôm babôm.

Teofil Logiczny (ôd bajtla Tyjo, Tyjo Logiczny): elwer, kery bezma wiedzie żywobyciy zatoplane we coroz bardzij ańfachowym biyrze, roz za kej lepszyjszyj gorzole nale porzônd we bele jakij berbelôwie i wandrusi sie po cołkich dniach ze inkszymi elwrami blank bez cweku ôd zidlungu do kaufhauzu, ôd familoka do szportplacu, ôd mamlasplacu do stadtpark ze pazôm na jscanie kajś we ajnfarcie... Nale tyż roz za kej Tyjo krzyźwieje i wtynczos leży na znaczki a filuje we niebo, rozpatruje swoje usmolone żywobyciy i wadzi sie sôm ze sobôm...eli ze Pônbôczkiym.

Zakrystion Cichy: cichy aże do ôstatnij zajty.

i jeszcze je Pônbôczek: Ônego niy widać bez cołki kônszt, niy ôdzywo sie ani roz, nale kajś we pojstrzodku Tyjo, nale tyż każdy fto słucho Logicznego mo gyfil, co Ôn sam je fest ryalnie. Filuje, miarkuje powoźnie na wszysko i roz za kej godo. A fto mo uszy, tyn sucho.

BINA

Kajś we Hajmacie. Egal kaj. Mikry drzewiany kościôłek. Ćmawo. Małowielu lichtu dochodzi do pojstrzodka bez maluśkie ôkiynka ze farbowanym glasym po ôbu zajtach ôłtorza. Wonio porasetrocznym drzewym, niydowno zgaszonymi świeczkami a wilgłymi ścianami wele pawlacza.

*Kajś ôd dwora dochodzôm źwiyunki srogij chaje: pierōnobiciy,
wywijanie wiatru we astach strōmōw a festelne chlastanie
dyszczu ô dach.*

*(ôtwiyrajōm sie ze zgrziptyniym dźwyrza kościōła, slyszec piźniynicie ônymi
nazod i zarozki niyskorziz stōmpanie szczewikami po kamiynistym zolu we
ôdsionku. Hned bez dwojiste wachlowane dźwyrza do pojstrzodka wlazuje
przikurczono persōna, ôsiywo sie nōgle, tōmpie fest szłapami, zwyрто govōm
na wszystkie strōny, coby ściepnōnc ze dugich kudeł kapki dyszczu a bōnto hymda
ze spranym abcybildrym „Pink Floyd” ôdlepio ôd basa)*

TYJO:

– Pierōnōw tysiōnc!! Gynał dzisiej! No, gynał ô tym czasie! Zowdy kej mōm do rukzaka wrażono plaua ôd dyszczu to siarońsko klara blynduje ôd rana do wieczora. Nale dzisiej niy! Dzisiej gynał sie musiało rozkidać i to tak na fol! Wyglōndōm terazki kej z ôkna na plac! Kej keryś ajnfachowy ciul!

*kajś ôroz srogo zagrzmiało aże zadyrgotoł glas we ôkiynkach. Zarozki ku tymu sie
blyśto a we kościele zrobiyło sie na chwila widno choby bez dziyń. Tyjo dziepiyro
terozki zaczońo filować wele sia i miarkuje, kaj sie schrōnił przed tōm chajōm.
Widzi ôłtorz, srogi krojc a pora śwyntych bildōw krōm ônego, ôciyro kapki
dyszczu z gymby a potym wartko choć fest ańfachowo sie żegno.*

TYJO LOGICZNY:

– Wyboczcie...

*Zaś sie blyśto i pizgo pierōn. Tyjo przewraco ślypia na wyrch
i żegno sie noch ajn mal, nale terazki bardzij akuratnie*

TYJO:

– Ja... Już sie tak niy jorgej, Pōnbōczku, ô te jedne wyrażyniy... Jo niy ma zaś aże taki ôszkliwy chop, jako sie przedstawiosz. Prziznowōm, co przinoleża tyż do tyj zorty Twojigo stworzynio, kero Ci za fest sie niy wydarziła i durch yno ôstudy przidowo, nale tyż niy koždy taki jak jo je ôd szlugu rojbrym, hōncwo-
tym, byamtrym, gorolym eli inkszōm ôszkliwōm persōnōm.

*Kajś ôd pawlacza zazgrziptała dylōwka choby ftoś tam deptoł.
Tyjo mrugo ôczami i filuje na krojc wele ôłtorza.*

TYJO:

– Widzisz, Pōnbōczku, fto sam ku Cia yntlich prziszōł, ja? Wiysz, fto jo je, pra? Stary bezbōźnik a beskuryjok. Jo, Pōnbōczku. Tyjo ôd Logicznych spod

waserturmu. Ôd Anylis Logicznyj, co bez pōł żywobycio dwadziestōm szwor-
tōm rōuzōm pociorka bōła i rzykała niy jedna a wszystkich piyntnoście dzie-
siōntek korōnki na dziyń. Ôd tyj Anylis, kero co drugi dziyń leciała ô trzic-
wierci na dziewiōnto na mszo a potym stanōnc do raje do masōrza a tak
rychtig to poklachcić ze inkszymi babami a poôbgadōwać wszystkich we wsi.
I niy dowala sie nic złego pedzieć na tego rubego farorza, kery co dwa roki
zmiynioł auto. Farorz sie ôbroł knif, co koźde nowe bydzie echt jednako far-
bowane co te stare. A starym babōm było ônego żoł, co durch rajzuje jednym
a tym samym i ciepały skiż tego do krōbki srogi geld.

Mojigo fatra Maksa Logicznego, kerego przemianowali za nowyj Polski na
Leona. Nale tak by tak żodyn, krōm cudzych ônego tak mianowoł. Yno Maks,
Maksik abo Maks Ymil i Jan. Toż Maksa już poradzisz, Pōnbōczku, znać trocha
myni. Można yno z widzynio. Bo fater Maks bez cołki tydziyń ôd rana dupoł
na huta, po poedniu do szynku, na wieczōr do chałpy, lygoł na zeslōng przed
ta skrzynia z blikanymi ôbrozkami i drzimoł do wyyczerzy. Charczoł a mie to
nerwowało, nale fater to fater. Toż niy idzie ô nim pedzieć, co by bōł jakoś fest
poboźny, nale koźdo niydziała wysztiglowany cis param ze muter na wielkie,
bo tedy zowdy ôdprawioł farorz i śpiywało Echo. I ônymu fest to sztimowało,
Nale tyż po wielkim mioł do ôglōndanio handbal na szkolnym szpilplacu eli
fusbal za kulturhauzym.

Trufōm tyż, Pōnbōczku, co bydziesz pamiyntōł oma Pyczyno, co bōła gdo-
wōm, po mojimu bezma cołki żywobyci i bez cołki czos pierōniła na ônych,
co jij Herbeta przy tych piecach na wopiynikach tak wyłōnaczyli aże wziōn
i umar. A! I starka Marta Logiczno ze Starych Tychōw, keryj tak rychtig za fest
niy pamiyntōm, bo my ôna nawiydzali yno przy gyburstagu we moju eli kej my
rajzowali na grōb ôd starzika.

Toż moja familijo, Pōnbōczku, znosz. I szło by jeszcze dugo ô nich godać.
Ô ciotkach ze Zowady, wszystkich trzech, co po weselach warziły, a choć sy mie
żodyn fajnszmeker, to smak kołocza ze Zowady i to jak wōnioł jeszcze dzisiej
czuja, kej yno ô nim pomyśla. I ô tych wszystkich ônklach, kere abo poumiy-
rały zatym doszłech do swoich lot, abo bōły fest schorowane i smykały sie po
lazaretach eli sanatoryjach. Ô kuzynkach ôd ômy kere popitały do Rajchu
jeszcze za Gierka z cołkimi familiami. Nawet ô ujku gorolu ze rzeszowskiego,
kery jak se wypił na gyburstagu, lepiej ôpowiadoł wice po naszymu ôd ônkla
Szolca, kery na bycie Ślōnzokiym mioł przeca papiōry. Ganz ańfachowo je ta
moja familijo. I jo je taki ańfachowy... No! Jakeś mie Pōnbōczku stworził,
takim mie mosz!

Niy chciolbych Ci, Põnbõczku, umnijszać, po tymu, co bodej wiysz wszystko, nale fto jo tak echt je poradzisz niy miarkować. Bo my sie ôd jakigoś czasu pierõnsko roz za kej yno widujemy. Idzie pedzieć, co wcale, pra? Rozmijõmy sie kej dwa cugi na banie we Jaškowicach. Jo yno ô dwanostyj we połednie suchõm czasym jak zwõniõm te Twoje zwony i spominõm õma, kej rzykała Pater Noster. I roz za jakiś czos, kej mie prziciśnie na wintil a jezech kajś po blisku to wlazuja na kerchof do tego õszkliwego, smrodlawego haźła, we kerym modre, tuste masary hned zaczynajõm furgać wele ciulika kej sie yno zacznie jscać. *(zaś sie błysło nale już bez grõma).*

Dobra... już sie byda miarkował ze tymi wyrażyniami. Nale tyn haździel to byś se doł wyrzchtować. Kej farorza stykać na rymõnt cołkij fary, to tych pora kachli i lajtõng by tyż sam sie mõg lajstnõnc przy tymu...

*Tyjo dobywo z kapsy biksa biyra za dwa piõntka.
Bez chwila dziwo sie choby jaki kõneser*

TYJO:

– Dyszczym gicho, a mie suszy... Dziwne... No! Nale człowiek niy ma fisz, na samyj wodzie niy pociõngnie. Zdo mu sie do diety jakeś mikroelemynty wkludzić roz za kej *(wartko tyrpie biksynyfner a dźwigo biyr)* Tõż pyrsk!

juzaś srogi grõm aże kościõłkiym zatyrpało

TYJO:

– Ja! Kapuja Põnbõczku! Tyż zech sie zgorszył jak Sisi na pogrzebie starego Mańdoka cigareta chciol w kościele zapolić... *(filuje naõbkoło)* O! Tõż na pawlacz sie wleza, ja? Ziczna sie w õstatnij raji i doczkõm aże tyn dyszcz põndzie weg... I byda cichuško... już bez godanio... *(słody zgrzypiõm po koźdym stõmpniynciu a gelynder ruszo na wszystkie strõny)* Jerõnie! Nale te schõdkki sam sõm rozklõnkrowane jak staro Zacharczyczka po drugim chopie! Põnbõczku, dej dobro launa tymu twojemu farorzczkowi, bo haździel haźłym, nale jak õrganiściok Wrõbel kejsi sfurgnie z tego pawlacza to bydzie srogo õstuda! Ha! Sfurgnie! Wrõbel! Sfurgnie! Dobre!... Dobre... mmm... nale to je dobre... Ta Perła... mmm... same mikroelemynty. *(tinto a zarozki potym biere go na spanie)*

PÕŁ GODZINY NIYSKORZIJ...

Zgrzypiõm dźwiyrza i rajn wlazuje persõna õblyczõno choby sie wybiyrała na jaki fajer. Nale galoty mo postrzympiõne na klinie, szaket przewieszõny bez ramie a biolo hymda sflekowano. Ôbtarganec galantnik postympuje dwa kroki

naprzõd. Sztopuje gynal hań, kaj sie õstoł mokry zol po Tyjo. We gorści trzimie srogi mobilniok i zwyrto na wszystkie strõny. Znać, co chop je fest dopolõny.

LUCEK:

– Pierõnõw tysiõnc! Co za dziyn usmolõny! I to prawie wtynczos, kej sie człowiek uwijo! No chytej żesz, klamorze õszkliwy, choby jedyn sztrich! Yno jedyn! Ajfon za piync tautynõw, a stynko choby staro baba. Zasiyng bych pryndzjy ańfachowym blajstiftym chycił! Amerykański szajs!

TYJO:

– A cõż to za bluźniyrz sam wloz do mojigo kościoła i larmuje?

LUCEK:

– A cicho bydź! *(durch filuje na mobilniok)* Ał... *(chyto sie za gowa)* Ale mi tõmpie pod deklym...

TYJO:

– Co za sorõń!

LUCEK: *(õdyjmuje mobilniok õd ucha)*

– Fto... Fto sam je?

TYJO:

– Jo!

LUCEK:

– Jooo... Co za jo? Jaki jo?

TYJO:

– No jo!

LUCEK:

– Fto jo? Jo, to może być bele fto!

TYJO:

– Jo to je jo! Ôd zowdy i na zowdy...

LUCEK:

– Jezderkusie...

TYJO:

– Inkszego sam niy ma...

LUCEK:

– Dyc przeca Ciebie tak rychtig niy ma...

TYJO:

– Jako niy ma jak jestech! Jestech, kery jestech! Tego sie niy do podwożyć!

LUCEK:
– Chwila... Przeca to je ònmyjglic! Abo zech sie przy tym umfalu na winklu kepòm za fest ô szalttafel piznòł abo zech sie sztachnył tego pulwru przy abszusie erbega i mi sie ôd tego pomysłònek belònce... Ał... (*trzyńsie kepòm*).

TYJO:
– Niy starej sie! Nic ci sie niy pofyrtało! Kej mie słyszysz, to dobrze. To wszystko sztimuje...

LUCEK:
– Ja, yhym. Gynał! Gynał to nic niy sztimuje! Pofyrtało mi sie przy tym umfalu i tela! Ciebie przeca niy ma i niykyj niy bòło! Religio to yno tonie ôpiòm dło gowiedzi!

TYJO:
– Jak padoł Uljanowicz Lynin... Ale to niy ma prawda. Świat fònguje dziynka Bogu.

LUCEK:
– Dziynka Bogu fònguje i bez Boga!

TYJO:
– Wadzić sie z Tobòm niy byda! Świat by tak chcioł... Schrònić... Wrazić Pònbòczka kajś na pawlacz i fertich. Zawrzyć na sztyry spusty we pròznym kościele, a samymu ròmplować i grzyszyć wiela wlezie...

LUCEK:
– Fanzolisz! Świat niy ma grzyszny. Grzyszny je yno tyn, co mo wiara...

TYJO:
– A tyn drugi?

LUCEK:
– Tyn, co niydowyrzo, musi wiyś zocne żywobyciy, coby ludzie dobrze ònego pamiyntali. To tyn, co wierzi, może przekroczać każde przikozaniy bo wiy, co yntlich zòndzie do suchatelnicy, a kapelònek tak by tak mu do absolucyjo.

TYJO:
– Ja! To niy ma tak ruk cuk. Tak sie to idzie forsztelować, kej sie je fòrt ôd kościoła! Kej sie je pobożnym to sie trza lynkać Pònbòczka...

LUCEK:
– Ludzi trza sie lynkać bo yno òne poradzòm ukrziwdzić. Pònbòczek, eźli je, to zrychtował tyn świat, a terozki drzimie kajś w ece kosmosa i mo wszystko w rzici... Świat sie zwyrtło, a gupie ludzie sie forsztelujòm, co Òn doglòndo, a flyjguje kòzdego boroka i mo wpływ na kòzde przitrefiyne... A to ludzie wzajem sie krziwdzòm i swalajòm na inkszych i na tajymne siyły...

TYJO:
– Terozki to godocie choby Kant i inksze deisty. Świat sie zwyrtło a Pònbòczek zawarty w tabernakulumie...

LUCEK:
– Jednakò jak wy?

TYJO:
– Jako jo? A niy, niy! Mie sam żodyn niy zawrzył yno jo sòm... Jo z dobrowoli sòm zech sie sam schròniòł...

LUCEK:
– Przed ludziami?

TYJO:
– Przed dyszczym...

LUCEK:
– Przeca mosz moc, coby go zastawić!

TYJO:
– Jo?

LUCEK:
– A fto pierònobiciy na stowku zastawił?

TYJO:
– Jaki zaś stówek? Jake pierònobiciy?... A! Wy ô tym... Tako metafora, ja? Tam, we Palestynie to bòł Genezaret!

LUCEK:
– Dyć! Toż z takim dyszczym kej dzisiej tyż dołbyś sie rady...

TYJO:
– Chwila! Co wy tam za puklato godka kludzicie sy mnòm? Skoźcie mi yno, fto żeście tak rychtig sòm?

LUCEK:
– Jo? Jo je Łucjan! Nale mianujòm mie Lucek... Luc Pyrek...

TYJO:
– Jak Luc Pyrek? Co Lucypyrek?... (*żegno sie*) Jerònie! Robicie mie za bozna...

LUCEK:
– A katać tam? Przeca ty tak by tak wiysz wszystko... Ciebie sie niy do ôcyganić...

TYJO: (*szkamro do sia*)
– Doczkej yno... Lucek Pyrek... Lucyperek... No ja! Ales klar! W dwudziestym piyrszym storoczcu przeca niy możesz capić siaròm, mieć szkòciatego ôgòna a ôszkliwyj gymby. We dwadziestym piyrszym storoczcu musisz sie

miechtać choby krisbaum... Wõniac parfinami. Być szykowny, moderny a wysportowany. I ôszkliwie bogaty... Lucek Pyrek... Tõž terozki tak sie mianujesz, czordybõnie... Diosku siaroński...

LUCEK: *(tyž szkamro)*

– O... Ucichło... hań na wyrchu... I we gowie tyž jakoś ciszyj. Musiołech sie jednak piznõńc za fest... I tak mõm glik, co Tesla mo te wszystkie absztimõngi, jakie yno wynodli. Inaczij bych z tego umfalu żywy niy wyloz. Można faktycznie, trocha za wartko żech gzuł po tyj mokryj sztrasie, nale guminy we aucie dobre, niemieckie, ABeeSy, EeSBesy i inksze patynta... Yno tyn winkiel... Ciaśny choby kozio rzić. No i te strõmy... Nic yno wytruć te pierõństwo eli podpłacić jakimu byamtrowi i wyrznõńc. No ale smolić. Stało sie! Ferzicherõng wypłaci to sie kupi nowe auto ale już normalne, na bynzyna... Yno żeby jeszcze tyn siaroński mobilniok fõngowoł...

TYJO:

– Rider of the storm... No ja... ales klar... Terożny rajter niy bydzie przeca na kõniu rejterowoł yno jakoś tak bardzij ykologicznie... Można na kole eli jakim autym na elektryka? Yno po jakymu gynał terozki? Skiż tyj jednyj biksy? Põnbõczku, dej retõng! Przeca jeszcze niy czas na mie, pra? Za wartko by to bõło. Za jedyn bier na pawlaczu diobli ludzi niy bierõm... a inszych grzychõw niy pamiyntõm... Ôdwiyz õnego, wykludź fõrt... W imie Ôjca i Syna...

LUCEK: *(zaś kuko na mobilniok)*

– Durch cima. Amerykańskie chabozie. Że tyž niy ma niemieckich mobilniokõw... Niyemiecki mobiniok to by fõngowoł i na trzista dwajścia na grubie... I cõž tyž mi sie to za fizymatynta stawiały... Z tym Põnbõczkiym? Jednak czowieczo fantazyjo je srogo choby rusko zima...

TYJO:

– Przeca jo niy ma żodyn Faust, yno Tyjo, Põnbõczku! Ty sie niy musisz wetować ô mie z pieklorzym! Mie niy trza być modym, bo jo sztyjc mõm gyfil, co staroś je jeszcze fõrt ôdy mie... Gryjty tyž żodnyj niy potrzebuja, bo beztõž mõm w żywobyciu frajnzna. I to styknie. Beztõž niy kludź mie na pokuszyni, Põnbõczku i niy wystowiej na prõba yno dej mi świynty pokõj a trocha dobryj bryny... A tego dioska na dole wykludź w pierõny... Amyn.

LUCEK:

– Musiołbych szczyrknõńc do Hajnela. Abo niy! Niy do Hajnela, yno Kaleje. Kaleja mo autotransporter, to Tesla z ranta wyciõngnie i wywiezie weg. I do Kariny, coby mi łachy prziwiozła, bo w tych postrzymionych szworach gańba sie kajś pokozać. Syjmna te galoty za szejset zlotkõw bo niy doś, co stargane,

to ściorane z marasu i trowy *(nasłuchuje)* Co to? Jednak ftoś tam je na pawlaczu? Czy to yno drzewo ôd starości stynko?...

TYJO:

– Tyjo, lebrze! Weż sie spamiyntej i myndykuj sprownie! Niy z takich turbacyi żeś sie poradziõł wyszmatlać! Yno niy dej sie skludzić na dõł... Niy dej sie zbamõncić tymu istnymu!

LUCEK:

– Dobra, Luc! Chopie. Spamiyntej sie yntich. Umfal umfalym, galoty ścioprane, hymda stargano, nale ôstołeś sie w jednyj tajli, lekuśko yno tyrpniõny, a tyn dyszcz musi tak by tak kejsi ustać... Retõng sie skludzi, Tesla ze ranta podźwignie...

TYJO:

– Halo! Ty! Istny! Hań na dole! Co je louz, kulebele? Po co żeś sam tak rychtig prziszol?

LUCEK: *(chyto sie zaś za gowa)*

– Juzaś?

TYJO:

– Co juzaś?

LUCEK:

– Myndykowołech bez chwilka, co ta godka z wyrchu to yno idyj we mojj bolawyj palicy...

TYJO:

– Ja, yhmm. Niy udowej gupigo! Już jo wiy, co żeś za jedyn!

LUCEK:

– Lucek Pyrek! Już godołech! Mõm fyrma we Wrõnim Kõncie. Hamernia! Zegrodzynia żelażne, gelyndry. Nale tyž szwajsowanie... Dźwyrza wyrobiõm do garażõw, szpindy, fynesterbrey i take tam fizymatynta... *(klupie sie po palicy)* Põnbõczku Świynty! Z kim jo godõm! Byda musioł põns do dochtora z tym piżniõnym kalfasym!

TYJO:

– Bieresz mie na żaloś, ja?

LUCEK:

– Toż jednak to niy zwidy, yno ftoś hań rychtig je na wyrchu?! Hej! Jak żeś je taki szumny to slyż sam na dõł i dej mi retõng!

TYJO:

– Ja? A po jakymu?

LUCEK:
 – Miołech umfal! Tukej na winklu wele kerchofa. Jechołech za wartko w tym dyszczu, wjechołech w ciaplyta i niy wyrobiōłech. Zwyrłto mie, felgōm przybrołech borsztajna, ciepło mie na dymbczok, a niyskorzij do ranta i forbaj!

TYJO:
 – Sprowne farmazōny, ja! To ci trza przykwolić, co poradzisz na doczkaniu pociskać fleki nale jo sie niy dōm tak ańfach nudli wiyszać!

LUCEK:
 – Jakie nudle? Jakie fleki! Dyć to je sama prawda!

TYJO:
 – Przeca ty niy znosz prawdy, cygonie jedyn! Prawda je wtedy, kiej sie pomylisz!

LUCEK:
 – Możesz mi niy dowyrzać nale przinajmij życznij mi mobilnioka jak mosz!

TYJO:
 – Mobilniok! I co jeszcze byś sie winszowoł? Mój tresek? Galoty? Badki? A można duszo?

LUCEK:
 – Mobilniok styknie! Szczyrkna po retōng i ci go wrōca! Słyż sam na dōł, bo jo na wyrch sie niy wyspinōm. Gyry mōm jakoś niywładne po tym umfalu...

TYJO:
 – Niy bier mie na pokuszyni, diosku siarōński! Mōm słyż na dōł, ja? I dać ci mōj mobilniok, ja? Co mi za to przybiecosz? Te zrōmbane auto z przykopy? Cofniesz lata? A można jakoś gryfno frelka wysznupiesz migiyem?

LUCEK:
 – Niy bydź za frechowny! Pora fynikōw moga ciepnōńć, eźli sie ô to rozchodzi!

TYJO:
 – Geld... Trzidziści szrebnikōw, ja?

LUCEK:
 – Niy bydź pośmiywny. Jak niy chcesz ślazować, to weź sōm zadzwōń. Powiyem nōmer i co mosz godać...

TYJO:
 – A niyskorzij pōndziesz weg?

LUCEK:
 – Jak yno dostana to, co chca...

TYJO:
 – I tu cie mōm, czorcie ôszkliwy! Jo ôd poczōntku miōł gyfil, co prziszolżeś po mie! Zarozki zadzwōnia, nale po farorza! Przidzie z kropelnicōm i cie pogōni, besperoku sakramyncki!

LUCEK:
 – A jo bōł przeświadczōny, co mie sie w gowie pobelōntało, nale widza, co tyżeś je bardziej pofyrtany niż jo!

TYJO:
 – Niy ma! Niy nabieresz mie na tako puklato godka! Ciś mi stōnd, a wartko!

LUCEK:
 – Ô panie! Przōdzij zech sie forsztelowoł, co worta, kere słysha, rodzōm sie yno w mojij bolawyj palicy. I małowiela bych uwierził w Pōnbōczkowe istniyniy. Nale terozki widza, co sowo wroz sie ciałym zrychtowało i kwateruje na pawlaczu! I wiedzie blank pitōmo godka! Skōńcz już fulać i ślazuj na dōł chopie!

TYJO:
 – Niy!

LUCEK:
 – Ślazuj, giździe!
zaś zgrzypiōm dźwiyrza, yno że terozki te ôd ôłtorza i wylazuje haństōnd mikry, przykurczōny chopek w biołyj sztrykowanyj korachli

CICHY:
 – Co je louz?! Co to za larmo, chachary siarōńskie! Sōmeście we dōmie Pōnbōczkowym, a niy w szynku u Kuczery! Bezboźniki! (*kroczy ôd ôłtorza miyndzy ławkami*) Ty! Co wyrobiosz hań na wyrchu?! Jak żeś hań wloz, kej dźwiyrka na pawlacz zamkniynte na klucz? No, chyba że Wrōbel zaś zapomniōł zawrzyć! Niy kryj mi sie terozki, giździe milijōński, za gelyndrym! Widza cie! Ślazuj na dōł a wartko! Ślazuj, zatym jo hań wleza, bo wtynczos sfurgniesz z tego pawlacza drabko choby fliger, yno bez krzideł! Jezderkusie! A ty co? Kaj ty mosz galoty, chopie! Co to mo być!? Sam niy ma szlafhaus! Ôblykej galoty i raus mi stōnd! Niy bydziecie mi robić z dōma Pōnbōczkowego szynku eli badycimiera!

LUCEK:
 – Dejcie sie przegodać!

CICHY:
 – Padołech: raus!

LUCEK:

– Miołech umfal...

CICHY:

– Umfal to ty dziepiyro bydziesz mioł, giździe siaroński! Zbiyrej te stargane galoty i już cie niy ma! Raus!

ôd pawlacza kroczy po cichutku Tyjo

CICHY:

– A ty, lōmpie! Przeca jo cie znōm! Tyjo Logiczny! Twoja ômka sie na kerchofie zywyrto w grabie! Tako pobożno baba, a ynkel co... Ańfachowy ciarach! To je onmyjglich!

TYJO:

– Wyboczcicie...

CICHY:

– Jo? Jo miołbych wyboczać? Jo je yno prosty zakrystiōn. Jo cie co nojwyżyj moga w rzić świtnōńc! Do Pōnbōczka byś roz za kej porzykōł porzōmnie, bezbożniku! Do suchanio poszo! Yno Pōnbōczek! Yno Ōn poradzi sprownie wszysko wyboczać!

Tyjo i Lucek dziwajōm sie na sia bez chwila, a dalij wylazujōm zgodnie bez kościelne dźwiryza. Za dźwiryzami widać danga

CICHY:

– Cołki glik, co drzimłō mi sie po rannym we zakrystyji... Widzisz, Pōnbōczku... Kejbych niy wachowoł, to te roztomajte wandrusy by Ci chałpa hned przisnożyły. Na sarmater! Amyn!

Marcin Woźniak

*Akcja dzieje się pod murami zamku w Rogowie Opolskim,
gdzie według legendy mieli siedzibę Templariusze.*

PERSŌNY:

Jorg Polok – teść

Sergiusz Dudacy – zięć

Winkler – wnuk kolegi dziadka od Jorga

Pradelka – miejscowa policjantka

BINA I

*Dekoracje na scenie: Brama i mur – imitują wejście do zamku w Rogowie Opolskim.
Makieta samochodu marki Volkswagen.
Przyciemnione światło mające ukazać błądy świt.*

JORG (szarpie Sergiusza):

– Wstowej, sōm my już.

SERGIUSZ:

– Yyyy, co fater gado?

JORG:

– Ty pierōński gorolu, co żeś sie bez cufal znalaz w moi familije! I tak niy poradzisz godać i jo niy je twōj fater. Wstowej!

SERGIUSZ:

– Kaj my jesteśmy?

JORG:

– W rzici!!! Bier ryl, taszlampa i ta czorno tasza ze kofra. Muszimy sie uwijać zanim bydzie blank jasno.

SERGIUSZ:

– Mam te klamoty, idymy.

JORG:

– Kaj do bramy, najdusie! Zadkiym idymy, wele tego muru. Świyc, sam kajś musi to być.

SERGIUSZ:

– Po jakimu wy wiecie, że coś sam ma być.

JORG:

– Dyc õpa, zanim umarli, to mie nakrykali mapa na zadku heftu.

SERGIUSZ:

– Co?

JORG:

– Żelozko! Czekej, bo ftoś dzwoni.

(Słychać coraz głośniejszą śląską melodię ludową, Jorg odbiera telefon)

Ja? No, my już sam sòm, a wy kaj? Aaa, jedziecie na kole, to czekõmy. Ja, mury przy Odrze.

SERGIUSZ:

– Ten kolega waszego dziadka to będzie pamiętał, o co łązi?

JORG:

– Dziadek to je do orzechõw, pamiyntej!!! To bõł õpa i ino tak o nim godej, pra?

BINA II

Na scenę wbiega stary, zdyszany mężczyzna w gumowcach, na głowie ma czapkę typu dżokejka z niemiecką reklamą piwa. Bujna siwo-złota broda zdradza, że z niejednego kufla piwo pił.

WINKLER:

– Grüß gott.

JORG:

– Ja, ja ...Co tak nieykoro?

WINKLER:

– Policja mi koło zabrała. To ta modo Pradelka. Ôna je wrõg alkoholu! Wczora z szynku wytargała swego chopa, a õn nie bõł õzarty. A rano mi pado, że mie czuć i mõm sie piechty iść.

JORG:

– Dobra, pamiyntocie, kaj to je?

WINKLER:

– Ja, tam miyndzy Traubenszwarcami trza kopać. Idymy.

SERGIUSZ:

– Co on padał, że między czym?

JORG:

– Po twojmu czorne winogrono... i niy godej do mie, bo i tak niy poradzisz. Nojlepiej niy godej do mie, ani niy mõw. Rõb ino to, co jo ci koża. Świyc!

WINKLER:

– To je sam, tu musimy kopać.

JORG:

– Co sie lampisz, kop!

SERGIUSZ:

– Ja?

JORG:

– Ja! Ty! Dyc żeś godoł, że fajnie, że sie razym jady my i że mi pomożesz. To kop. *(Sergiusz wykonuje nerwowe ruchy szpadlem, Winkler wyciąga saperkę i zaczyna mu pomagać. Słychać metaliczny dźwięk.)*

Mocie co?

SERGIUSZ:

– Podziwejcie się, całkiem dobry tyglik.

WINKLER:

– Mie sie wydowo, że to bõło bliżyj wieży.

JORG:

– Szukejcie, sam kajś musi być na murze znak Tymplariuszy – trzi rouzy.

SERGIUSZ:

– Oooo tukaj !

JORG *(nachyla się do Winklera):*

Jo kedyś nie strzimia i moja cera bydzie gdowõm.

Kopcie! (Winkler z Sergiuszem energicznie poruszają łopatami).

BINA III

*Na całej długości sceny mur.
Pod murem głęboki wykop, cała trõjka pije wodę z butelek, na scenie pojawia się kobieca postać w mundurze jadąca na rowerze.*

WINKLER:

– Ta jyndza jedzie na moim kole. Udowejcie, że sie sam tak ino godõmy.

PRADELKA:

– Chopy, co sam porabiecie?

WINKLER:

– Godōmy sie i pijymy zelter.

PRADELKA:

– Godocie, że sie godocie... Aaaa ta duca sam?

JORG:

– To sam tak bōło.

SERGIUSZ:

– Duca była, a my tu zakopywali ptaka od pana Winklera, to znaczy koguta, bo my go pierdyknęli autem.

JORG (*półszepem*):

– Trzim pysk, bo ci zarozki tak nakopia do szmot, że jak przijedziesz nazod do dom, to cie ani baba, ani dziecka nie poznajōm!!! Abo ta duca bydzie do ciebie!

PRADELKA:

– Tyn Volkswagyn to wasz, ja?

JORG:

– Ja.

PRADELKA:

– To jo wom musza dać sztrofa. Na ajnfarcie stoicie, a parkplac je przy cmyn-
torzu.

JORG:

– Jaaaa, piszcie, jo źle stoja, to jo zabula.

(*Pradelka odjeżdża w stronę zaparkowanego auta, znika za rogiem.*)

BINA IV

SERGIUSZ:

– Mogę wiedzieć co tu jest zasute?

WINKLER:

– Jorg, tyś mu niy pedzioł?

JORG:

– Niy.

WINKLER:

– Jo mu to wytuplikuja.

JORG:

– Ino niy po naszymu, bo bydymy sam do jutra stoć.

WINKLER:

– W sztyrdziystym piōntym ōpa ōd twojigo szwigerfatra znod ze moim ōpom we pywnicy zomku drzewiano kista zawarto na dupno kodka. Ludzie godali, co w takij kiście je ukryty skarb Tymplariuszy, co sam downij gospodarzili na zomku. Ale jak Rusy Rogōw wyzwolali, to ōni sam na gibko pod tymi rouzami musieli tyn skarb zasuć. Po tym ōpa od Jorga wyjechoł do Chorzowa, a mōj ō tym zapomnioł. Dopiyro Jorg, jak mu ōpa tak poosprawioł i doł ta landkarta, zaccōn mnie szukać, beztōż jo sie tyż spōmnioł, co mi fater i ōpa ōsprawiali ō tyj kiście.

SERGIUSZ:

– Blank żałuję, że pytałem.

JORG:

– Dobra, nie dupc yntōw, ino kop.

(*Słychać zgrzyt szpadla po czymś twardym.*)

WINKLER:

– Mōmy to!

JORG:

– Wyciōngej!

SERGIUSZ:

– Jezerkusie, ale ciężkie.

JORG:

– Ciōng!

WINKLER (*rozmarzony patrzy na wyciągniętą skrzynię*):

– Tako samo, jak ōpa godali.

JORG:

– Dowej sam tym autym, wdupcymy kista do kofra i jadymy do mie na plac.
(*Jorg idzie w stronę auta gwiżdżąc pod nosem.*)

BINA V

Jorg dobiega do Winklera i Sergiusza, na scenę wjeżdża na rowerze policjantka Pradelka.

JORG:

– Dowej z taszy ta czorno deka i ciepnij na kista, bo ōna sam jedzie.

WINKLER (*wyciąga koc z torby, przykrywa skrzynię, siada na niej*):

– Udowejcie, że czekōmy na ta sztrofa co miała wypisać.

JORG:
– Frau kapitan! Wielu zabuła za to, żech niy stoł kaj trzeba?

PRADELKA:
– Mocie sam. 500 złotkōw.

JORG:
– Ja, piyknie dziynkuja.

PRADELKA:
– Co sam sie wynokwio? Co mocie pod dekom?

JORG:
– Nic.

SERGIUSZ:
– Trumna z kokotem pana Winklera.

WINKLER:
– Skarb ôd Tymplariuszy.

PRADELKA:
– Panie Winkler, wy już niy pijcie, bo sie wōm w gowie kanarki pieprzōm. Pokoźcie no. *(Odsuwa Winklera i zrzuca koc).*

PRADELKA:
– Godejcie zaro co to je.

WINKLER:
– Przeca godōm. Skarb.

PRADELKA:
– Tak to niy bydzie, jo rekwiruja ta kista.

JORG:
– Frau kapitan, nie rōbcie z nos ciuli. My wom to dōmy, a wy sie to do siebie ôstawicie.

WINKLER:
– Pradelka, jo znoł waszego fatra, ôn bōł blank dobry chop, po jakiymu z was je tako wancka? We tyj policji was tak uczom? Bydźcie fajni, podzielymy sie.

PRADELKA:
– Niy moga, przeca jo musza stoć na straży prawa.

SERGIUSZ:
– To może my weźmiemy pół skarbu na trzech, a drugie pół pani policmajsterka?

PRADELKA *(drapie się po brodzie)*:
– Dobra, ale filujcie, coby żodyn niy widzioł.

JORG *(popycha Sergiusza)*:
– Dowej brecha mody.
(Słychać trzask, ze skrzyni odpada kłódka.)

JORG:
– Dobra, chopy, na trzi – sztyry otwierom. Trzi – sztyry.
(W otwartej skrzyni widać 6 pełnych butelek z napisem „Weißwein” i miedzianą puszkę.)

WINKLER:
– O świniu, a co to za cuda krowskie?

SERGIUSZ:
– Białe wino i jakaś puszka.

PRADELKA:
– Pamiyntocie, umowiali my sie po połowie. Otwiyrōmy biksa.
(Winkler otwiera puszkę, w środku znajduje się kartka papieru napisana po niemiecku.)

PRADELKA *(bierze kartkę)*:
– Coś sam je nagryzmołone.
(Jorg, Winkler i Sergiusz spoglądają przez ramię na kartkę.)

JORG:
– Jo niy mōm bryli.

WINKLER:
– To po ôbcymu je nagryzmołone.

SERGIUSZ:
– To chyba po niemiecku, ja tylko po angielsku poradzę.

PRADELKA:
– Gibko, bo sie robi jasno, jeszcze mie tu fto ôboczy.

SERGIUSZ:
– Pani Pradelok, bierz pani ta kartka i trzy flaszki do męża. To może być dużo wart dokument. My bierzemy też trzy flachy i ta ozdoba biksa. Pasuje?

PRADELKA:
– Ja, niech bydzie. Ale wina niy biera. Po piyrsze je żech na suźbie, a po drugie niy byda chopa rozpijać *(oddaje Winklerowi rower)*. Terozki ida ôtwiyrac posterunek. I jakby keryś sie pytoł, to my sie nie znomy.

JORG:
– Frau kapitan, ale wyście mi tyn mandat wypisali, to my sie znōmy.

PRADELKA:
– Weź pan to spol i tela. Moja strata. Trzimejcie sie. *(Odchodzi za kulisy.)*

JORG (*chwytając Sergiusza za koszulkę pod szyję i krzyczy*):

- Ty paciuloku, ty pieroński podciepie! Tyś jį doł z tyj kisty to, co nojlepsze!!! Jo cie zamordują gołymi rynkami.

SERGIUSZ:

- Fater czekajcie.

JORG:

- Niy godej tak do mie.

SERGIUSZ (*jednym tchem*):

- Tyn papiór nic nie był wart, jo znam niemiecki, tam stało, że grupa archeologów z Heidelbergu znalazła tu po powodzi, we 1997, złote monety i przekazała je do muzeum we Opolu. A niemieckie wino zostawiła do tych co odkopiom tą kistę. Napisali tyż, że ona mo drugie dno i tam jest schowane coś do tych, co skarb odkopiom.

JORG (*klepie Sergiusza po plecach*):

- Syneek, ty trocha godosz. I nawet mosz łeb. Może z ciebie jeszcze co bydzie. Wiysz co... mogesz mi godać fater, (*pod nosem*) chyba, że mie zaś wkurwisz.

WINKLER:

- To co... koždy biere flacha i jadymy do dom, bo mie blank suszy.

JORG:

- Czekej, dyć trzeba ta kista cało rozebrać. Słyszolś przeca co Sergiusz godo.

WINKLER (*bierze łom, uderza w dno skrzyni, deski pękają*):

- Jerōna, chopy tam je bojtel.

SERGIUSZ (*wyciąga worek, otwiera i wyciąga kolejny list po niemiecku, czyta półszepem*):

WINKLER I JORG (*chórem*):

- No godej co tam stoi?!!!

SERGIUSZ (*z uśmiechem*):

- Uniwesytet w Heidelbergu zapraszo odkrywców tyj skrzyni na rajzę śladami zakonu Templariuszy, wystarczy skontaktować się z nimi i ustalić szczegōły.

WINKLER:

- Godosz, że to jeszcze ważne bydzie?

SERGIUSZ:

- Tak myślę.

WINKLER:

- Jo nikaj niy jada, jeszcze fligrym pewno? To niy je normalne, żeby tako kupa żelaza furgala.

JORG:

- Czekejcie, Heidelberg to je kole Mannheim, kaj ciotka Ana miyszko. To my jak pojadymy z matkōm we grudniu na byzuch do nij, to mogymy się zapytać we tym uniwersytecie co to je warte.

SERGIUSZ (*rozmarzony*):

- Może zobaczymy Ziemię Świętą?

JORG (*podaje Sergiuszowi łopatę*):

- Ty się lepiej bier za ta zymia sam, trza ta duca przeciyż zasuć. A co ze tōm biksōm?

WINKLER:

- Weźcie sie na szraubny abo bombony.

JORG:

- Ja, abo jak kojfna, to mie spolōm i do tyj biksy nasujōm .

WINKLER:

- Abo sie na szranku postow. Trzimcie sie Panie Winkler, jadymy do chałupy.

WINKLER:

- Pyrsk, chopy.

JORG I SERGIUSZ:

- Z Bogiym.

BINA VI

Akcja dzieje się dwa lata później. Na scenie dekoracja mająca oddawać klimat plaży nad Morzem Martwym, z głośników słychać szum morza. Sergiusz i Jorg leżą na piasku. Zza kulis wychodzi postać w kąpielówkach.

WINKLER:

- Ale że jo fliygrym poleca i byda za granicōm na starość, to zech sie niy spodziywoł.

SERGIUSZ (*sączy piwo z kufla*):

- Wiysz co, fater, jak mi się podoba, że my sam przylecieli.

JORG:

- Chopie na tako rajza, to by nos niy bōło stykać. A tak mōmy sam luksusowo, nawet gorko, browar i żarcie nom noszōm pod pysk.

SERGIUSZ:

- Tyla żeś mi nawykliñoł, chciołś mi naklupać, a teroz tak się razym sam siedzimy.

JORG:

- No, musza pedzieć, synek, że tyś to je ziyńć na piyńć. Nojlepszy!

MIYNDZY NIEBYM A ZIYMIŌM, CZYLI ŌZPROWKI NA DACHU JORGOWEGO GOŁYMBNIKA

Bożena Kaczmarczyk-Gwózdź

PERSŌNY:

Jorg – gołymbiorz i grubiorz na pynzyji

Ana – cera Jorga, fest wylynkniono, durch wajo i ślimto

Cila – Jorgowo baba

Marcelek – nastoletni syn ōd Any

BINA I

*Na scenie makieta gołębniaka, za nią dwie składane drabiny.
Na jednej z nich siedzi Jorg.*

ANA: (WOŁA ZZA KURTYNY)

– Fater! Fater! Kajście to sŏm? Czekŏm na wos z ōbiadym. Dyć zaroski wszystko bydzie zimne. Zrobiylach dzisieji Źyniaty Źur. Przeca lubicie. (*wchodzi na scenę szybkim krokiem*) Fater... (*spogląda na męczyznę siedzącego na dachu i urywa w pół zdania*) Jezderkusiel! Fater, cosz wy to wyrobiocie? Złaźcie gibko s tygo gołymbniaka! Dyć ślecicie i sie gynik złomiecie. Fater! Słyszycie, co do wos godŏm?! O Matko Śwynto, o śwynto Barbaro, o śwynty Antoniku, co jo mom teraski poczońć?!

JORG:

– Ana, guchy Źech niy jest. A ty tak ryczysz, choby cie Źywycym ze skŏry obdziyrali, umrzika byś na rŏwne nogi postawiyla.

ANA:

– Fater, ale poczamu wy Źicocie na dachu tygo gołymbniaka?

JORG:

– A po tamu! Gołymbnik to je mŏj plac. Ino tu sie moga dychnŏńć i podumać.

ANA: (*odwraca się w prawo i krzyczy*)

– Marcelku! Podź no sam, ale drapko. Koniec świata, ōpa Jorguś do gowy dostali!

MARCELEK:

– Mamulko, co to za larmo? Przeca juź ida (*wchodzi na scenę*). Padocie, Źe ōpa do gowy dostali? Abo to piyrwszy roś? (*dostrzega Jorga*) ō pierona, ōpa!? Co wy to wyrobiocie? To niy ma normalne! Jak wyście tam wlyźli?

ANA:

– Synek, co poczońć, co poczońć?! Dyć ōjciec w robocie... Po pomoc trza lecieć! Gzuj po ujka Achima, niych sam przidzie, moźno co poradzi. Ale uwi-jej się!

MARCELEK:

– Toć, toć! (*po chwili*) Matulko, dyć ujek Achim mo szłapa w gipsie na wy-ciŏngu. (*Ana płacze*) Matulko, ino niy ślimtejcie, (*do Jorga*) ōpeczku, a wy ślyźcie ku nom.

JORG:

– Jo śleza, a wy mŏj gołymbnik rozbierecie. Niydoczekanie wasze! (*Ana momentalnie przestaje płakać; patrzy na syna, potem zwraca się do ojca*) O Pon-bŏczku złoty! Fater, a skŏnd to wyicie?

JORG:

– Za gupka mie mocie?! Myślicie, Źe jo niy wiym, Źe chcecie mŏj gołymbnik obalić i garaż sam stowiać. Niy pozwola! Po moym trupie!

ANA:

– Tatulku, niy gorszcie sie. Dyć wyicie, Źe nowe auto z Rajchu my sprowadziyli. To grzych, coby take droge auto na placu stoło. Jeszcze fto zachachmyńci. My wom przeca chcieli pedzieć, ale my sie boli, Źe larmo bydzie... (*znowu płacze*)

MARCELEK:

– Opeczku, niy starejcie sie, juź wszystko mŏmy ugodane. Jutro Kurpanik przijedzie z koparkŏm, coby tyn wasz kamerlik obalić i bydzie po sprawie. A gołymbnik sie nowy postawi, kajś ze zadku. Tyn jest przeca fest stary i przy wyynkszyj wiji i tak by sie som złomoł choby sztrachecla.

JORG:

– Niy ma rady, bydziecie musieli obalić tym gołymbnik razym Źy mnŏm, wy gizdy pierŏńskie.

ANA:

– Fater, co wy to fandzolicie? Ślyźcie, to pogodomy na spokojnie (*Jorg milczy*) Niy ma leko... Marcelku, idź do Kurpanika i odwolej ta koparka.

MARCELEK:

– Co???

ANA:

– To, co godōm. Leć, ale drapko!

MARCELEK: *(do siebie)*

– Człowieku, być tu mōndry z tymi babami: nojpiyrw matulka kożōm mi wartko koparka załatwiać, a potym posyłajōm, coby jōm odwołać. *(do Any)* Niych wom bydzie, ale....

*Na dole wciąż toczy się ożywiona dyskusja między Aną a Marcelkiem.
Znikają za kurtyną.*

BINA II

Jorg zwraca się do gołębia, który siada obok niego.

JORG:

– Pōdź sam, moj gołōmbku. Zobocz, jacy my sōm do sia podobne: oba my sōm starzi i żodnymu niypotrzebni. Ino jym zawodzomy.

Cicha muzyka w tle. Wchodzi Cila. Siada na dachu obok Jorga.

JORG:

– Cilka, moja Cilka... To richtich ty? Przeca na bezrok bydzie dziesiyńc rokōw, jak Ponbōczek wezwoł cie do sia!

CILA:

– Ja Jorguś, to jo. Tak mi sie na spōminki dzisiej wziynło, toch prziszła.

JORG:

– Przyszłaś po mie?

CILA:

– Niy, jeszcze niy czas na cia.

JORG:

– A szkoda... Cilko, jakoś ty gryfno! Te warkocze, jak u modyj frelki, te ôczka chabrowe i nowy klajd. Wyglōndosz gynau choby wtynczos, kej my sie pierwszy roś spotkali.

CILA:

– Jorguś, pamiyntosz to jeszcze?

JORG:

– Jakbych mōg zapomnieć?! Dyć to bōł nojważniejszy dziyń w moym życiu. Do remizy na tańce poszołżech ino bestōż, że mie kamraty namōwiyli. Bo jo tam do tańcowowanio nigdy niy bōł. Stoł żech choby ta sztacheta w pocie

oparty o ściana i patrzył jak inksi tańcujōm. I wtedy ujrzoł żech ciebie. Śmiołaś sie do koleżanek. Ponbōczku, jakoś ty wtedy była gryfno, choby jaki anioł z nieba, choby modo gołōmbeczka.

CILA:

– A tyś bōł taki szumny i postawny, i te czorne wosy zaczesane do zadku. Tak żech liczyła na to, że przidziesz ku mie i zapytosz eli s tobōm zatańcujaja.

JORG:

– I tak żech tyż zrobiōł, chocioż żech sie fest lynkoł, że mie niy bydziesz chciała... Wiysz, Cilko, już wtedy w tyj remizie jo żech wiedziōł, żeś ty mi jest pisano.

CILA:

– Jo tyż, mōj Jorgusiu, jo tyż.

BINA III

Zza kurtyny wychodzą Ana i Marcelek.

MARCELEK:

– *(szepciem)* Mamuś, poczamuście do farorza dzwoniyli?

ANA:

– Jak starzik skoczōm s tygo dachu i sie zabijōm, to co? Przeca ôstatnie namaszczynie muszōm dostać. *(płacze)*

MARCELEK:

– Matulko, przeca ôpa żyjōm i wcale niy wyglōndajōm choby chcieli skokać. Nawet sie śmiejōm.

ANA:

– Niy nerwuj mie już! Kurpanik odwołany? *(Marcelek potakuje; Ana zwraca się do Jorga)* Fater! Tatulku! Niy ma wom za ciepło? Klara świyci, a wyście ani huta niy wziynli.

JORG:

– Mie już przeca nic niy zaszkodzi.

ANA: *(dzwoni telefon komórkowy)*

– Tatulku, farorz do wos dzwoniōm. Zaroski podom wom mobilnioka, cobyście s niym pogodali. *(do telefonu)* Halo... ja... ja... Bydzie s wami godoł... *(do Jorga)* Farorz mi pedzieli, że to sie niy godzi, coby człowiak we waszym wieku po dachach skokoł.

JORG:

– A godzi sie, coby farorz małpka pod sutanną miał skryto? No, już niy strzylejcie takich afów, przeca każdy to wiy.

ANA:

– Fater i coście to narobiyli?! Farorz sie rozlōnczōł. Lepij pōdźcie sam do nos. Koparka odwołano, niy bydzie rozbiōrki.

JORG:

– Ale słowo sie rzekło. Niy jutro, to kedy indzij postawicie na swojym. A jo, pōki żyja, na to niy pozwoła! Słyszycie?! Niy dōm wom gołybnika tyknōnc. Idźcie samstōnd, bo mi ino gołymbie straszycie, ône sōm już cołke wylynkionne. Ana, niy ślimtej mi sam. Jak niy mosz co robić, to idź do dōm. We szranku, tym wele ôkna wisi moj ślubny ancug. Wyciōng mi go i wyluftuj, coby w trule naftalinōm niy śmierdziōł. To by dopiero gańba była. A ty, Marcelek, idź ôbejrz, czy cie ze zadku w zygrodzie niy ma.

Ana załamuje ręce i razem z Marcelkiem schodzą ze sceny.

BINA IV

JORG:

– Cilko, powiydz mi ino, czy ôma Truda je razym s tobōm tam na gōrze?

CILA:

– Ja, ôstatnio pedziała mi tak: wiysz, dziolcha, same utropiyinia mōm z tym Jorgym. Godałach, że z tymi briwami nic dobrego niy bydzie... Tela roboty a nic s tygo niy ma. Lepij sie świnia do chlywika kupić i uchować, aby jest co pojejs.

JORG:

– Cołkym jakbych ômy Trudy słyszōł, ale przeca człowiyk musi mieć jako uciecha w życiu. A mojōm nojwiynkszōm radościōm sōm te moje ptoki, ône były sy mnōm zowdy: w chwilach szczyńsio i ciyrpienio. Pamiyntōm, jak żeś urodziyla Any, to żech zdobōł gynau piyrsze miejsce w okryngu, a jak bōł pogrzyb starki, to w nocy tako burza prziszła, że mi czyńs dachu z gołybnika serwało.

CILKA: *(śmieje się)*

– Jorguś, ty to richtig mosz ptoka w tyj łebie.

JORG:

– Można i mōm, ale tak widocznie mie Pon Bōg stworzōł.

CILKA:

– Można i mosz recht... Durch żeś w gołybniku siedziōł i przinojmij do szynku żeś niy lotōł jak inksi. Pamiyntosz tego Erwina ôd Maryjki. Razym s tobōm do szkoły chodiōł. Taki fajnisty synek to bōł. A potym jak zaciongnōł, to pod mostkym ostoł leżeć i przez pora dni go niy mogli znolyź. *(chwila milczenia)* Jorguś, powiydm ci – ino żodnymu niy godej – Ponbōczek fest pszaje gołymbiōm. Wiysz, że Duch Świynty przibroł postać gołymbicy. To przeca niy było bez cufal.

Po chwili

JORG:

– Cilko, a Franc Konopka... ôn jest s tobōm, tam na gōrze? *(palcem wskazuje niebo)* *(Cilka kiwa głową na potwierdzenie)* To stary Konopka prziniyśli mi do chałpy piyrwszo porka briwōw. Kejby niy ôn, to jo bych nigdy niy napoczōn chować gołymbi, a te moje gołymbie to je cołki mōj świat. A teraski... Chcōm mi tyn gołymbnik zniszczyć, zrōwnać z ziymiōm, bo jym zawodzo. To je tak, choby jo jym zawodziōł, bo jo żech w tym gołybniku zostawiōł spory tajl mojigo żywobycio. Jak mi tygo zabraknie, to bydzie mōj koniec...

CILA:

– Jorg, niy starej sie! Bydzie dobrze.

JORG:

– Łatwo ci godać, bo ty mosz już świynty spokōj tam na wiyrchu, a jo – same utropy...

BINA V

Na scenę wchodzi Ana.

ANA:

– Fater! Ojczulku! A można byście co zjedli. Pewnikym już mocie głōd. Zrobiyłach wom sznitki s tustym i ôgōrki kiszzone mōm. Podom wom to na żyrdce. Boja sie o wos, coby wom cukier niy slecioł.

JORG:

– Ana, ty sie nic niy starej! Niy samym chlebym żyje człowiyk. Jak ftoś mo frasunki na gowie, to ô jodle ani niy pomysli. A tyn ancug znodłs? Myśla, że mole go niy zeżarły.

ANA:

– Ja fater, ale prosza wos – niy rōbcie gupot!

JORG:
– Ana, lepij mi sie skludź samstōnd. Idź Marcelkowi co naszykować. Pewnikym synek mo głōd.
Ana płacze. Schodzi ze sceny.

BINA VI

JORG:
– Cilko, a pamiyntosz, jak żeś pierwszy rołs prziszła na proszony ôbiod w niydziała po sumie? Jak tyś wtedy na mōj gołymbnik wejrzała, to aż ci sie oczy zaśmioły. Pamiyntosz, co mi wtedy pedziałaś?

CILA: (*uśmiecha się*)

– Że tyn, fto przaje zwierzyntōm niy może być złym człowiekiym.

JORG:
– Ja, gynau tak. A te moje ptoki, ône wcale sie ciebie niy boły. Niy były przelyknione, jak żeś pierwszy rołs wlaźła do gołymbnika. Nawet jadły ci z rynki, choby cie zowdy znały.

CILA:
– Ja, Jorguś, tak to Pon Bōg do nos wymyśłoł. Mieli my sie spotkać, to my się spotkali.

JORG:
– A powiydz mi, Cilko, ta twoja choroba, to tyż Pon Bōg wymyśłoł?

CILA:
– Jorg, ty durch sie na Niygo gorszysz o to?

JORG:
– Ja, niy moga tygo spokopić, jak ôn mog na cia, tak dobrego człowiuka, kery żodnymu nigdy niy ukrziwdziōł, zesłać tela ciyrpiynio. Czamu niy na mie? Przeca jo je wiykszy grzysznik.

CILA:
– Jorg, tego dowiysz sie, jak Ponbōczek cie zawoło do siebie. Teraski jeszcze niy czas. Powiydz mi lepij, co tam u naszymy Any i wnukōw słuhać.

JORG:
– Ana miyszko sam zy mnōm, razem z tym swoim gupiyim chopym.

CILA:
– Niy godej tak, ôn przeca niy jest wcale taki zły. Anie przaje, dbo ô nia i ô bajtli. Robotny jest. Niy pije. No, czasym ino fafuli gupoty.

JORG:
– Ale na grubie niy chcioł robić, jak żech mu robota załatwiōł. Zamiast na gruba poszoł do biōra. Siedzi cołki dziyń i papiōrki przekłodo.

CILA:
– Powiydm ci, że mono to i dobrze, że na gruba niy poszoł.

JORG:
– A to poczamu?

CILA:
– Przez te wszystkie lata, jak tyś pod ziymiōm robiōł, to jo sie tak o cia lynkała! Zowdy, jak żeś wychodziōł do roboty, to żech sie boła, że już niy wyjedziesz nazod. Dobrze, że Ana niy musi sie tak starać o swojygo ślubnygo.

JORG:
– Ale ôn jest fest przemōndrzały! Tak mi na nerwy działo, że czasami to bych mōg go gołymi rynkami udłowić. Tyn pomysł z rozbiōrkōm gołymbnika i stawianiy garażōw, to pewnikym jego robota. Dyc ôn nic niy rozumiy.

CILA:
– Jorg, to pogodej s niym i mu wytłumacz, czamu te ptoki sōm do cia tak ważne. Cołki czos ześ go z daleka ôd gołymbnika trzimoł, niy mōg nawet wlyjś do środka, to sie teraski niy dziw.

JORG:
– Ja, Cilko, mosz recht. Można jakbych go pryndzyj przyuczoł, wziōn sam, pozwołoł z ptokami pobyc, to by było inakszyj...

CILA:
– Ana tyż żeś z daleka ôd gołymbi trzimoł.

JORG:
– Wiysz poczamu. Przeca jak była mało, to durch siedziała zy mnōm przy gołymbiach.

CILA:
– Ja, do czasu...

JORG:
– Jak wlaźła mi kedys sama do postrzodka i wszyske jajca pomiyszała. Niy wiedziōł żech potym, kery briw je po jakich rodzicach.

Śmieją się.

CILA:
– Ja, pamiyntōm, jak żeś sie wtynczos nerwowoł... Jorguś, wpuś ich do tygo twojygo gołymbnika i do twojygo życio. Można wtedy spokopiōm. Przeca ty

musisz swojigo nastympcy znojs. Musisz mieć kogoś, komu przekożesz te ptoki i miłość ku niym. Fto je bydzie flegowoł, jak ciebie zabraknie?

JORG:

– Nigdy żech o tym niy pomyśłoł. Cilko, brakowało mi tyj twojij godki i dobrych radōw.

Cilka schodzi ze sceny.

BINA VII (OSTATNIO)

Marcel wchodzi na dach.

JORG:

– Marcelku, co ty sam robisz? Jak żeś sam wloz? Przeca jak twoja matulka cie ujrzy na dachu, to nom obu nogi z... to sie fest znerwuje.

MARCELEK:

– Opa, na dole je take zamiyszanie. Wszyjscy kajsik lotajōm bez ducha, matulka wajo i ślimto, fater do mobilnioka ryczy, ujka Achima chce ze szpitala wziōnć i sam przywiyż. Farorz ze fojermanym drugo flaszka obalajōm, siedzōm pod stromym i ozprawiajōm, jak cie stōnd ściōngnōnć... A poza tym tak żech sie pomyśłoł, że pewnikiy ōszybnie ci samymu tukej siedzieć. (*Jorg się uśmiecha*) Opa, zoboczcie! Gołōmb siednoł sie tak blisko nos, ōn sie wcale niy boi.

JORG:

– No pewnie, że sie niy boi, ale myśla, że jest festelnie głodny. Muszyny slyjs i ptoki nafutrować. Pomożesz mi?

MARCELEK:

– A moga? Dycki godaliście, żebych niy właziōł do gołymbi, bo tam jest wiewla kurzu i fest duzo gołymbich g...

JORG:

– Niy musisz kończyć! Wiym, coch godoł, ale jak chcesz, to mozesz is z mnōm. Zowdy tam mozesz włazić. Jak bydziesz chcioł, to postawia ci osobny gołymbnik, ale nojpiyrw musisz sie nauczyć, jak sie z briwami obchodźć.

Schodzą z dachu. Znikają za kurtyną.

Krzysztof Kokot

PERSŌNY:

Achim – ksiądz kanclerz

Paulek – profesor

Kelnerka

SCENA 1

Mała przytulna kawiarenka. Stół, dwa krzesła i wieszak. Przy stoliku siedzi mężczyzna pod pięćdziesiątkę. Po chwili wstaje, by przywitać wchodzącego gościa w podobnym wieku.

KANCLERZ:

– Witōm, serdecznie witōm profesora, świyżego profesora!

PROFESOR:

– Jō tyż wos witōm, kanclyrzu. Downo my sie niy widzieli...

KANCLERZ:

– Nō, trocha lot minyło, koždy poszeł inkszōm drogōm. Siednijcie sie, profesorze.

PROFESOR:

– Wiysz, jeszcze żech niy przibadoł do tego tytułu, a jeszcze bardzij sie traca w moich nowych obowiōnzkach.

KANCLERZ:

– Jak sie sztajgnie, to na zicher i roboty przybywo! Ale pewnikiy dosz sie rada, przeca to twoja biologia, fto tyj przajesz...

PROFESOR:

– Mosz recht, ale niyftore sprawy papiōrkowe... te finanse, przepisy, co sie zmiyniajōm, zanim do starych przibadosz, nō i ōdpowiedzialność.

KANCLERZ (*z uśmiechem*):

– Niy ma nic za darmo, synek, niy!

PROFESOR:

– Może i było lepij siedzieć na rzici kapka niżyj i poświynćć sie badaniōm.

KANCLERZ:

– Ja, genetyka to ciekawo nauka. Czasym udo mi sie wynuchtać w cajtõngu mõndry kõnsek i sie dziwują, do czego to te niypokorne ludziska jeszcze dõndõm?

PROFESOR:

– Dobre pytaniy. Wcale ci sie niy dziwia... idzie stracić wiara.

KANCLERZ:

– Abo... jeszcze mocnij wierzyć!

PROFESOR:

– Nõ, ale powiydz, jak żeś znod tako fajno kafyjka? Trocha zech sie zdziwiõł, czymu niy chesz mie zaprosić do kurii, abo niy przidziesz do mie na katedra.

KANCLERZ:

– To mo być spotkaniy koleżyńske, blank priwatne, take po latach, niy chcio-
łech tego „instytucjonalizować”. Poza tym majõm tu dobry tort Zachera. Przi-
chodza tu po cywilu i biera na roz dwa kõnski.

PROFESOR:

– Niy widać...

KANCLERZ:

– Chopie, wiysh wiela mie to kosztuje? Jak mõm trocha czasu to jeżdza na kole
i spolõm kalorie, chodza tyż na basyn. Powiy ci na ucho, że jedne koło to
mõm we Wiśle u znajõmega farorza, powiniyneś go znać, chodziõł tyż do
naszego gimpla, ino trocha niżyj...

Po cichutku zjawia się młoda zgrabna kelnerka z zielonymi włosami.

KELNERKA:

– Czy panowie już coś wybrali?

KANCLERZ:

– Ja, wybrali my, õbeszło sie nawet bez karty. Dwa razy Sachertorte. Jako kawa
dlo ciebie? (*zwraca się do profesora*)

PROFESOR:

– Espresso doppio.

KANCLERZ:

– Dlo mie czorno, gorzko i piekelnie mocno. Ha, ha...

KELNERKA:

– Proszę bardzo. Tort i kawę mamy wyjątkowo smaczne. Wszystko prosto
z Wiener Konditorei. (*uśmiech*) Czy coś jeszcze?

KANCLERZ:

– Na razie styknie, paniczko!

Kelnerka odchodzi, a panowie wracają do przerwanej rozmowy.

– Piykno dziouška, co? Jakbych niy bõł ksiyndzym...

PROFESOR:

– Ale pewnikym niy chciołes sie zy mnõm spotkać, by pogodać õ frelkach.

KANCLERZ:

– Niy bydź taki niycyrpliwy. Myśla, że ci sie za bardzo niy spieszy?

PROFESOR:

– Mõm czas, aby spokojnie pogodać ze starym szkolnym kolegõm, ftory tak
wysoko sztajgnyl w kurii.

KANCLERZ:

– Ja, chopie, niy było leko. Pamiyntosz? Syminarium jeszcze wtedy było
w Krakowie.

PROFESOR:

– Nõ ja, ale niy wszyscy po syminarium lõndujõm u biskupa na kuście. Coś
dalij robiyl po syminarium?

KANCLERZ:

– Drugi fakultet cywilny, doktorat w Rzymie. Trocha rajzowanio i nazod na
służba. Ale suchej. Tak, jak my chodzyli do jednyj szkoły...

PROFESOR:

– I to dobryj szkoły!

KANCLERZ:

– ... tak samo twõj szef Hanek, stary profesor – niych mu zymia leko bydzie
– chodziyl do szkoły z naszym „świyntyj pamiynci” biskupym.

PROFESOR:

– Coś zech słyszõł. Przychodziõł do nos czasym posiedzieć i pogodać z pro-
fesorym. Dziwowoł sie badaniõm i dlo szpasu godoł, że u nos czuć piekło.

KANCLERZ:

– Õn niy ciepõł słõw na wiaer... Minyl niy tak downo czas, kej już mogymy
poleku archiwizować pozostawiõne przez niego papiõry. Niy powiy, jest tego
trocha. I niy wiy, czy bez cufal, czy bez Opatrzność do tyj krecij roboty bi-
skup wydelegowoł akurat mie.

PROFESOR:

– To już do emerytury mosz co robić! Wy tyż idziecie na zasuzõno emerytura?

KANCLERZ:

– Niy zjyżdzej na inksze tymaty, ino suchej. W jego priwatnym dziynniku jest
maluško notka. „Hanek zaszczyplł wszystkich klerykõw przeciw gripie”.

PROFESOR:

– Pamiyntōm, jo bōł wtedy delegowany. Jechali my z lodōwkōm autym profesora. Cołko ekipa...

KANCLERZ:

– Cołko ekipa z...

PROFESOR:

– No z Katedry Genetyki i Immunologii, a co?

KANCLERZ:

– Czy to cie niy dziwi? Przeca mōg ich zaszczypić lokalny san-epid, nō niy?

PROFESOR:

– Pewnie chodziło ô piniōndze. Prowadziyli my bardzo ciekawe, ale i kosztowne badania, ô wszystko sie trza było w Polsce prosić. Jakby nōm Szwajcary i Nymce niy dali ôdczynnikōw, to nic by z badań niy było. Hanek wszystko umioł załatwić! A szczypiynie pewnikym musioł ftoś zrefundować, nō niy? Budżet zapłacił, a my zarobiyli i mieli na badania.

KANCLERZ:

– Piniōndze sōm ważne, niy powiym... bez nich terozki nic niy zrobisz. Padosz, że za szczypiynie w syminariōm dostaliście forsa, ftoro poszła na dalsze badania.

PROFESOR:

– Richtig, pewnikym tak było, mōgli my prowadzić swoje – szyrsze – badania. Tych sponsorowanych z zagranicy niy śmieli my publikować, a wiysz, teraz do dalszyj kariery liczōm sie punkty, artykuły, nojlepiej w zagranicznych pismach.

KANCLERZ:

– To musioł być richtig ważny projekt.

PROFESOR:

– W tych latach modyfikacja genōw w ludzkim genotypie, to rozpoloło wyobraźnia. My mieli za zadanie tak zmiynić zmutowane gyny, aby zlikwidować Alzheimera. Prōbowali my mutować prōmiyniowanym, bakteriami i wirusami, ftoe miały zaniysć poprawiōne kōnski DNA na konkretny stricte ôbrany plac na tyj nojważniejszyj na świecie kecie... kecie DNA. Grzebać w nij, to tak, jakbyś chcioł zygarek motkym naprawiać, choć to i tak niy jest dobre porōwnanie.

KANCLERZ:

– Tōż padosz, że wystarczy poprawić niyftore gyny ôdpowiedzialne za choroba i człowiek zdrowieje?

PROFESOR:

– Piyknieś to ujōn, ale to niy take proste. Przeważnie za choroba ôdpowiedzialny jest cały kompleks gynōw. I tu dopiyro zaczyno sie szpil.

KANCLERZ:

– Szpil padosz? (*napil się kawy*)

Jak niy możesz godać ô badaniach, to posuchej mie i poprow, kaj trza. W notatkach, ftoe my znodli, biskup napisoł, że szczypiynie prziniōsło pozytywne rezultaty, żodyn kleryk niy chorowoł, a wyniki z egzaminōw zaskoczyły in plus.

PROFESOR:

– Tak napisoł? Jo myśla, że nic wielkigo w tym szczypiyniu niy było. Chopcy niy chorowali, bez to niy ôpuszczali wykładōw i zdali lepiej egzaminy. Proste, nō niy?

KANCLERZ:

– Jo tyż tak myśloł, ale niydugo po tym, biskup zleciōł testy psychologiczne na poziom inteligyncji dlo wszystkich klerykōw. Rozpływoł sie nad wynikami.

PROFESOR:

– Ale co to mo wspólne ze szczypiōnkōm na gripa?

KANCLERZ:

– Myślołech, że nic...

PROFESOR:

– I dobrześ myśloł!

KANCLERZ:

– Niy do końca, bo w jego ôsobistych rozliczyniach finansowych znod żech ôkrongło sumka we frankach i ino dwa słowa: Hanek – mutacje.

PROFESOR:

– Ciyńko mi coś godać, bo niy znōm tymatu. Niy mōm wiedzy ô tych piniōndzach. Przeca wtedy jo był niy tak dugo po doktoracie. Profesor niy ôpowiadoł nigdy o jakichś dotacjach ôd biskupa, czy z kurii. Co ty, Achim, kombinujesz?

KANCLERZ:

– Suhej, Paulek, mie zastanowio słowo „mutacje”. To na pewno niy wymyślył sōm biskup. W delikatnych rozmowach z ksiynżoszkami z tych rocznikōw, dowiedziōłech sie jeszcze, że niy dugo przed śmierciom, wszystkich, ftorzy wtedy byli klerykami, kozoł dokładnie przebadać. Wyniki tych badań sōm w kartach pacjynta. Nasze doktory godajōm, że nic dziwnego w nich ni ma.

PROFESOR:

- Rozwodzisz się nad tym sprawom, a dlo mnie to jest oczywiste. Biskup dlo ô swoich kapelônków. Profilaktyka to bardzo pozytywne działanie. Lepij prze-ca zapobiegać. Niy rozumia toku twojego rozumowanie?

KANCLERZ:

- W korespondencji biskupa, przez fto ro żech się musioł przekopać, jest pora krótkich notek ôd profesora, czyli Hanka. Jedyn list môm w kapsie.

(sięga do kieszeni i wyciąga kopertę, otwiera i czyta)

„Niech Ekselencja się nie lęka, działania uboczne są bardzo rzadkie i nieszkodliwe, np. myszy w drugim pokoleniu mogą mieć zaburzone wytwarzanie melaniny, na jej miejsce wskakuje chlorofil...”

PROFESOR:

- Pierôna, widza, że pomału włączysz w genetyka. *(uśmiechnął się)* Może niy sôm to dobre dzwyrze, ale powiy ci naukowo – i tak, byś zrozumioł. Nojczyncij wykorzystywanym do badań gatunkym sôm myszy. Majôm ône 96 procynt gynów idyntycznych z człowiekym, wiyncyj mo ino szympans, bo aż 99 procynt. Myszy sôm tónsze, łatwij i gibsij się rozmnożajôm, bez to môm je w laboratoriach. Do badań niy używôm takich myszy, na fto re poluje kot- kaj tam – to sôm specjalne szczepy z dysfunkcjami układu ôdpornościowego. My tyż używôm takich szczepów genetycznie modyfikowanych ô nazwie...

KANCLERZ:

- Godej, Paulek, do mie po ludzku, bo niy chytôm!

PROFESOR:

- A myślisz, że jo ciebie rozumia? Nuchtosz tam kajś w papiôrach niybosz-czyka biskupa i coś ci niy gro.

KANCLERZ:

- Niy fandzol! Wiym, jak wyglôndo mysz, prze-ca godajôm szaro myszka, ale jak u nij...

PROFESOR:

- Dobrze terazki myślisz! Jak melanina zmiyni się w wyniku mutacji na chlorofil, to mysz bydzie zielôno.

KANCLERZ:

- Zielôno mysz?

PROFESOR:

- Nô zielôno, czego niy rozumisz?

KANCLERZ:

- Godajôm, że jak się utintosz, to tańcujôm ci we łbie biołe myszy...

PROFESOR:

- Tukej bez picio mosz zielône skuli mutacji gynowyj. Mieli my take przypadki, ale to się potym niy potwierdziło przy inkszych zortach myszy i my to we wnioskach pominyli. Artefakt – szlus.

KANCLERZ:

- Studiowôlech tyż socjologia.

PROFESOR:

- Achim, chopie, wydukej wszystko, bo niy wiym ô co ci się rozchodzi!

KANCLERZ:

- Niy dowalo mi spokoju te słowo mutacja, ta sporo sumka, fto ro biskup doł profesorowi i ta melanina, nô a przede wszystkim te lepsze wyniki kleryków na egzaminach.

PROFESOR:

- Mein Gott, aleś namiyszoł...

KANCLERZ:

- Suchej dalij... Zrobiôlech symulacje i doszed żech do dziwnych wniosków.

PROFESOR:

- Pewnikym potwierdzonych naukowo i z przywalônym sztymplym „impri-matur”!

KANCLERZ:

- Niy bydź pośmiywny, Paulek. Moje wnioski sôm proste i nawet trzymajôm się kupy.

PROFESOR:

- Coż ci wyszło, godej?

KANCLERZ:

- Po porównaniu ze ślepyimi próbami, wyszło ewidyntnie. że po zaszczypieniu na gripa wyniki egzaminów tyj grupy kleryków sztajgły ku niybiosôm, co świadczyć może ô nogłym podźwigniyńciu inteligyncji.

PROFESOR:

- Abo, jak żech ci godoł, ô intensywniyjszym kōntakcie z ksiônżkami i systy-matyczniyjszym uczestnictwie w wykładach i syminariach. Proste, prosza ja-śnie ksiyndza kanclyrza!

KANCLERZ:

- To było brane pod uwaga. Przjrzoł żech się tyż tymu z twojigo punktu wi-dzynio, wielu z nich ôstało farorzami, wielu awansowało w kurii, wielu napi-sało doktoraty i sôm na uczelniach, u nos, abo nawet we Watykanie.

PROFESOR:

– Powiedz, synek, i cōż ci takego wyszło?

KANCLERZ:

– To niy mogło sie stać bez cufal. To musioł być pewny i mocny impuls.

PROFESOR:

– Możliwe, ale mōg żeś wyciōngnōńc fałszywe wnioski.

KANCLERZ:

– Tyż żech tak myśloł do momyntu...Pewnie sie bydziesz śmioł!

PROFESOR:

– Kaj tam, godej...

KANCLERZ:

– Poru z tyj grupy klerykōw ôdeszło ze stanu duchownego, co sie zdarzo i jest traktowane, jako klarowanie sie naszego środowiska. Jedyn z nich, co sie pora lot tymu ôżyniyl, mo bajtla...

PROFESOR:

– Chyba niy bez szczypiōnka?

KANCLERZ:

– Mo bajtla z zielōnymi wosami...

(dłuższa cisza)

PROFESOR:

– To może ta kelnerka jest jego cera? Ale pierdoły pociskosz, wielebny. Pōdź pōdymy na szpacyr, może kapka świyżego luftu dobrze nōm zrobi.

KANCLERZ *(w stronę kelnerki)*:

– Proszę panią, chciałem zapłacić!

PROFESOR:

– Powiadōm ci, to musiołby być ekstra zbieg okoliczności, statystycznie niy-możliwy.

KANCLERZ:

– Ale widzi mi sie, że to jest prawda... Reszta ci powiym, ale niy tukej. Ośmiorniczki my już przerobiali...

PROFESOR:

– Tōż kaj mie, kamracie, bydziesz włōk?

KANCLERZ:

– Ôbejrzysz, Paulek, piykne, ciche miejsce. Pewnieś tam downo niy bōł, abo ino za bajtla.

(podchodzi kelnerka z zielonymi włosami)

KELNERKA:

– Proszę rachunek.

KANCLERZ *(wyciągając banknot)*:

– Reszty niy trzeba...

KELNERKA *(zakłopotana)*:

– Ale to za dużo żeście mi dali...

KANCLERZ:

– Dobrze jest, ale jak tak paniczko uważasz, to mōm prośba... Przefarbij sie wosy.

KELNERKA *(z radością)*:

– Już żech ô tym nawet myślała!

KANCLERZ:

– Sōm przeca inksze farby... aplusinowo, abo lila!

KELNERKA:

– Ôbejrzycie, jak przidziecie juzaś, to już niy byda zielōno. Bardzo wōm dziynkuja!

KANCLERZ:

– Sprawdza to, ani niy myśl, że mie wykiwosz!

KELNERKA:

– Kaj tam. Jeszcze roz piyknie dziynkuja.

PROFESOR + KANCLERZ *(wychodząc z kawiarni)*:

Tōż do widzynia, z Bogym!

SCENA 2

Nasi bohaterowie wychodzą z samochodu na ustronnym leśnym parkingu.

KANCLERZ:

– I co? Pewnieś tu downo niy bōł?

PROFESOR:

– Na Bolina przyjydzōm ôd czasu, do czasu. Kedy to było? Chyba w maju, drzewka wtedy kwitły na bioło i różowo. Piykne i spokojne miejsce.

KANCLERZ:

– Ja, ja dobre miejsce na krōtki szpacyr. Dziś fajnie, ciepło, może ôstawiymy szakety w aucie?

Ściągają marynarki i rzucają na tylne siedzenie.

To może i komōrki tyż ôstawiymy, niy bydōm nōm zawodzac?

PROFESOR:

– Świnyto prawda, ino sie dziwują, czego ty sie tak boisz? Tak wos tam w kurii bildujōm? Byle byś mi niy kozoł sie sebylc do badkōw!

Kierują się w stronę tamy i strumyka. Po chwili milczenia...

Tōż godej, karlus, co ci siedzi na wōntrobie!

KANCLERZ:

– Widzisz... jako koledze, zdradza ci poufno wiadomość... W kurii niy byli-by radzi...

PROFESOR:

– Popatrz sie na mie, czy aby niy mōm kajś jakiś wancki.

KANCLERZ:

– Wiysz... sicher ist sicher.

PROFESOR:

– Pedzioł Mannlicher i wynoloż szperplata. Tak my to jakoś za synkōw godali.

KANCLERZ:

– Ja, ja, trzymajōm sie ciebie szpasy, ponoć to dobrze świadczy ô inteligencji.

PROFESOR:

– Przeca tyż żech sie szczypiył. (*śmiech*)

Tōż dośc szpasów...

KANCLERZ:

– To suchej... Nasi prawnicy majōm zamiar złożyć w prokuraturze wniosek w sprawie legalności waszych szczypiyń. Prokurator mo sprawdzić, czy niy doszło do zakazanych doświadczyń i eksperymyntōw na ludziach. Majōm wszystkie papiōry z archiwum ôd biskupa i jeszcze jakichś świadkōw...

PROFESOR:

– Nō dobra, ale co jo mōm z tym wspōlnego?

KANCLERZ:

– Przeca jako jedyny jeszcze żyjōncy, bōł żeś w ekipie, ftoro szczypila w seminarium. Chyba styknie!

PROFESOR:

– I co z tego? Przeca szczypiyńiy było legalne!

KANCLERZ:

– Same szczypiyńiy ja, ale prōbowanie tych mutacji, to już niy.

PROFESOR:

– A fto ci nagodoł ô mutowaniu?

KANCLERZ:

– Wyniko to z listkōw...

PROFESOR:

– ...priwatnych listkōw i to ôd niyboszczykōw?

KANCLERZ:

– Pōnoć te paragrafy sie niy przedowniajōm.

PROFESOR:

– Eksperymynty medyczne na ludziach, bez ich wiedzy richtig sie niy przedowniajōm, ale nawet jak tak jest, to przeca przestympcy już niy żyjōm. Sprawa do umorzynio. Musisz tyż wziōnc pod uwaga, że biskup i Hanek mōgli działać w zmwowie.

KANCLERZ:

– Posuchej, przeca tu niy chodzi ô jakiś wyrok, bo tego mōmy w cajtongach, radiu i TV wleza i to niy robi już żodnego wrażynio. Ale sprawa z uczelniōm i profesorami narobi kupa smrodu w waszym naukowym środowisku, a to juzaś ôdbije się z pewnikym na prestiżu, reputacji akademii, katedry, nō i w końcu ciebie. Szaltrujesz?

PROFESOR:

– Ale jo z tym niy mōm nic wspōlnego. Jo mōm być winny ino skuli tego, że żyja?

KANCLERZ:

– Ale tak to w świecie działo. Niy ważne, czyś winny, ale jak cie już roz ôplujōm, środowisko sie dowiy, że prokurator niucho u wos... Toś, chopie, przepod do imyntu. Mōsz przesrane, kapujesz?

PROFESOR:

– Myśla, że sprawiedliwość sie ôbrōni.

KANCLERZ:

– Nō, a tak miyndzy nami... to tako rzecz, nō wiysz, take zmutowanij to richtig je możliwe?

PROFESOR:

– Z wiedzy, ftoro mōm, może to być realne. Wiyncyj mie ô badania niy pytej.

KANCLERZ:

– Minyło trocha czasu, przez te lata nauka poszła do przodku...

PROFESOR:

– Na podstawie nojświyższych danych z literatury, a wierza, że genetycy sōm już w badaniach dalij, podobne eksperymynty dajōm pozytywne efekty.

KANCLERZ:

– Padosz, że take poprowianij człowieka jest już możliwe?

PROFESOR:

– Co tak patrzysz na mnie? Lyczmy już przeca sporo schorzyń, ftoe bierōm sie z uszkodzyń gynōw, próbujemy kaj sie do... niy ino w medycynie, ale w rolnictwie, hodowli. Idymy gibko do przodku, niy to, co w kościele. Wy tak, jakby sie cofocie. Niy widzisz tego?

KANCLERZ:

– Czasym coś lepiej obserwować „from outside”, ale jak siedzisz na tym samym szifie z podobnymi do ciebie, to można niy widzieć felerów. Dej pozōr, jo ciyngym wierza w wielkość Boga, a wy zaczynocie podgryzać jego poczynania, Czy to może przinijść coś dobrego?

PROFESOR:

– Achim, niy zapōminej, że Bōg nos stworzōł na swoje podobiyństwo i wywodzimy sie z tyj samyj materii. Czy Bōg niy dōł nōm rozumu, żeby my myśleli? Wiysz w wielu procyntach korzystōmy z możliwości mōzgu? Bez to niy boja sie, że nauka robi coś wbrew Bogu. Ōn dopuszczō do tego, aby my, drobne roboczki, lepiej korzystali z tego piyknego świata.

KANCLERZ:

– Niy spodziwołech sie takich słōw ōd ciebie. Richtig uwazosz, że całe dobro nauki pochodzi od Boga?

PROFESOR:

– Niy ma inkszyj drōgi do poznania. Powiy ci jako naukowiec, dochodzimy do tego, że jednak duch bōł przed materiōm. I tyn duch ciyngym dowkuje ludziōm nowe impulsy, po leku, aby nōm sie synapsy niy przegrzoły.

KANCLERZ:

– Tōż posuchej mie w duchu ekumynicznym... Mōm do ciebie propozycja. Jak uznosz, że jest do przijyncio, to postarōm sie pogodać z naszymi prawnikami, aby zaniychali rozpatrywania śmierdzōncyj sprawy szczypiyn.

(Sięga do kieszeni spodni i wyciąga złożoną kartę papieru.)

Tukej mōm wypisane problemy, ftoe gnymbiōm polski kościōł. Może, dziynki Boskij mocy nauki, udałoby sie w tyj materii cosik ruszyć, oczywiście w twój dziedzinie. Mōgbyś, Paulek, na ta lista popatrzeć i jakoś zaradzić?

PROFESOR:

– Apage, Satanas...

(Wyciąga rękę po kartkę i czyta.)

Do stu pierōnōw, co ty mi dowosz? Chopie, tu medycyna jest bezsilno, to niy sōm choroby!

KANCLERZ:

– Zastanōw sie! Niy musisz dować teraz ōpowiedzi. Pokōbinuj kapka, może choć niyftore...Co?

PROFESOR:

– Achim, na wszystkie te przypadłości, mocie ōdpowidź w waszych ksiyn-gach... Ino trza sie tego trzimać. Jak tego niy bydziecie pilnować, nō to dupa zbito! Trzimejcie sie ōd kety DNA z daleka, to nic niy do. Nic – kapujesz? A poprawianie intelektu... Istotnie idzie to zrobić, ale sōm powiydz...dlo kogo? Dlo tych poru klerykōw, co sie zgłosiyło do syminarium? Koszty, chopie, koszty byłyby wielke. Ale widzisz, naprowadziōł żeś mie na super pomysł!

KANCLERZ:

– Jō?

PROFESOR:

– Jakby my tak zaszczypili „zum Beispiel” całe Katowice, abo jeszcze lepiej, cołki Ślōnsk?

KANCLERZ:

– Niy błoznuj... Ciebie sie zowdy gupoty trzymały!

PROFESOR:

– To jest, kanclyrzu, ino fantastyka naukowo.

(Przystają, wyciągają marynarki z auta i ściskają sobie ręce na pożegnanie.)

KANCLERZ:

– Lepij mi powiydz, co z tyj kartki do sie zrobić, wiysz, przeca to dlo dobra kościoła.

PROFESOR:

– Fandzolisz, Achim, przeca kościōł to sōm ludzie, to sōm wierni, a niy wy... oligarchy.

KANCLERZ:

– Chca – sōm widzisz – żeby było lepiej. Wiym, trza rozpoczōnić ōd siebie, bez to próbuj. Dosz jakoś znać, jak sie namysłisz?

PROFESOR:

– Zdaje mi sie, że lepiej dejcie „szczypiynie” do prokuratury. Może sie ōpa-miyntocie. Użyjcie wyobraźni, bo to cudowno umiejyntność człowieka!

(odchodząc)

Ōdezwia sie!

KANCLERZ:

– Byda rod! Sprawdzimy przy okazji, jake ta frelka bydzie miała wosy, co? Apluzinowe, eli lilowe?

PROFESOR:

– Byle niy była jak dynga! Trzimej sie!

KANCLYRZ:

– Tõž kedy?

PROFESOR:

– Dõm ci znać...po wyborach!

ELEGIJA Ő ŚLŌNSKIYJ FIŚNIYNTYJ

Konstanty Faber

PERSŌNY A SCYNA:

- a) Dõchtõrka w biołym czepku i kitlu, na kitlu biołõ-czerwõnõ ôdznaka partyjnõ, siedzi za biõrkym, po lewyj ôd biõrka zwõlny bioły stołek;
- b) Po drugij strõnie na biołym hokrze w kaftanie bezpieczeñstwa kobyta z gołymi nogami w biołych prostych brazylianach;
- c) Kole nij po prawy wachujõm niy czowiyk a hełm, przyłbica, kominiarka, ãmawe bryle, pistõula Glock, pistõula maszinowõ MP5, gewera szturmowõ G36, tonkwa. Czornõ bluza z jednoczynsciowym zadkym i dwuczynsciowymi rynkõwami. Na patkach kabzõw rynkõwõw je emblemat POLICYJŐ. Szkrabikel ôsłõniõ dwuwarstwowõ stõjka. Galõty z dugimi nogawicami majõm kabzy boczne wpuszczane do postrzodka jak tyž zewnytrzne naszyte na nogawicach. Őd strõny zewnytrznij naszyte sõm zmocniyniõ na põłrztkach i klinach. Na bokach nogawic naszyto dwie kabzy nakłõdane. Põniżyj kabzõw udowych tyž naszyte sõm kabzy nakłõdane. Bluza mõ dwie kabzy na ramiõnach. Na kabzach ôznaczynia dinstu. To to we uniformie sepleni, bo mõ ochraniacze na zymbach.
- d) Gañbiatõ asystentka w mundurku flyjgerki. Őblycze porynczne, niy winne być za wiewa obcisłe, ani za frajnõ. Byklajdõng mõ przede wszyjskim põmõgać i ulekszacz robotã, coby niy krymplowaly ruchõw i niy szterowaly w wykõnowaniu dziynnych õbwiõnzkwõw: – porynczny fason, estetyczny wyglõnd, wysokij jakości materyjõ, kolorystyka, unikatowe wykõnczynie. Dekolt napasowany do figury.

Zaczynõ się!

* * *

DŐCHTŐRKA DO POLICAJKI I FLYJGERKI:

- Őbserwujmy pacjyntõw bez cołkie podszukowanie: – Patrzymy na spõsõb, w jaki tyn pacjent, ta kobyta siedzi; dyrganie nõg, eli ciõngłe manipulacyje rynkoma; kõntakt wzrokowy kobyty z dõchtorym; tympõ wgodaniõ kobyty...

DŐCHTŐRKA DO KOBIYTY:

- Jak sie miynicie i wiewa wom je?

(Kobyta patrzy na Dõchtõrka i nic niy godo.)

FLYJGERKA:

- Ta kobiyta wiy, kim je, jak sie nazywõ i wiela mõ lõt. To artystka – malyrka. Dobrõ malyrka. Znõm jõm trocha.

(Kobiyta patrzy na Dõchtõrka i nic niy godõ. Policajka robi krok ku kobiyce i macõ sie po tonkwie, choby chciała przestraszyć.)

DÕCHTÕRKA DO POLICAJKI:

- Niy!

DÕCHTÕRKA DO KOBIYTY:

- Wiela Wõm je?

(Kobiyta patrzy na Dõchtõrka i nic niy godõ.) Po chwile:

- Lõt mõm w sõm rõz. Sõm rõz, coby niy gõdać.

DÕCHTÕRKA DO KOBIYTY:

- Wiyecie, kajście sõm, kerego dzisiej mõmy, jaki to dziyń w tydniu?

(Kobiyta patrzy na Dõchtõrka i nic niy godõ.) Po chwile:

- Dzyń jak dzyń. Kõzdy dzyń je, jaki je. Rõz dobry, rõz gorszy. Ale słõnce świyci awsze. Czasami za chmõrami.

DÕCHTÕRKA DO FLYJGERKI:

- Patrz lepij, eli ta Kobiyta jy sztajfnõ abo õsłabiõnõ. Moznõ sprawiõ wraźynie roztrzaśniyntyj i niyzdolnyj do cieszyniõ sie, idzie wysnuć podyjzdrzynie õ õbniźyniu launy.

FLYJGERKA DO DÕCHTÕRKI:

- Ta Kobiyta niy jy sztajfnõ abo õsłabiõnõ. Niu sprawiõ wraźyniõ roztrzaśniyntyj i niyzdolnyj do cieszyniõ sie. Ale jo niy je Dõchtõrka. Policajka tyż żech niy je. Dzyynki Bogowi, niy.

DÕCHTÕRKA PYTÕ KOBIYTY:

- Pasowaliście alkohol, narkotyki, jak tyż mocie inksze uzaleźniyniõ?

(Kobiyta patrzy na Dõchtõrka i nic niy godõ.)

POLICAJKA:

- Gorzoła, marycha, kokajina? Wszyjsko. Tatuaze, piercing. Botox. To widać. To takõ milfa. Galeryje, galõty, szatki, Batki – stringi... to taki nierobiś, Abo nierobiška. Ino manifestacyje i marsze. Tęczowe flagii, bigle i paryzole.

(Dõchtõrka mrugõ porozumiewawczo do Flyjgerki.)

FLYJGERKA DO POLICAJKI:

- Dej sie lyczyc! Ty je żeś barzo gupiõ, eli ino trochã? Mõsz słuźycz. A ty co?

DÕCHTÕRKA PYTÕ KOBIYTA:

- Pasowaliście alkohol?

(Kobiyta patrzy na Dõchtõrka i nic niy godõ.)

DÕCHTÕRKA PYTÕ KOBIYTA:

- Pasowaliście narkotyki?

(Kobiyta patrzy na Dõchtõrka i nic niy godõ.)

FLYJGERKA DO DÕCHTÕRKI:

- Podszukowaniõ niczego takigo niy wykõzały.

DÕCHTÕRKA PYTÕ KOBIYTA:

- Kurzycie?

(Kobiyta patrzy na Dõchtõrka i nic niy godõ.)

POLICAJKA:

- Kurzy przed i po. Kõzdy jã znõ. Kõzdy jã mõ.

DÕCHTÕRKA NIY SUCHÕ, PYTÕ KOBIYTA:

- Mocie inksze uzaleźniyniõ?

(Kobiyta pluje z brzdzyynim pod nogi Policajki i nic niy godõ.)

DÕCHTÕRKA PYTÕ KOBIYTA:

- Doświadczõcie urojeń.

POLICAJKA:

- Ino. Durś a ciyngiy...

(Kobiyta patrzy na Dõchtõrka i nic niy godõ.)

DÕCHTÕRKA PYTÕ KOBIYTA:

- Mieli żeście jakeś wraźidlate, niyprzijymne myśli, co jejich próbowaliście unikać.

(Kobiyta patrzy na Dõchtõrka i nic niy godõ.)

POLICAJKA:

- Jak zarobić, a sie niy narobić. Jak leżeć...

DÕCHTÕRKA PYTÕ KOBIYTA:

- Doświadczõcie kõniecności wykõnowaniõ jakichś czynności, co mogõm
- aspõn czasowo – łagodzić wystympowanie õbsesyje.

POLICAJKA:

- Jak zarobić, a sie niy narobić. Jak leżeć i dobrze wõniać.

(Kobiyta patrzy na Dõchtõrka i nic niy godõ.)

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBİYTA:

– Mocie myśli samobójcze.

FLYJGERKA DO UCHA DÖCHTÖRKI:

– Ta kobiyta niy jy gupio...

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBİYTA:

– Mocie problemy z ludźmi?

POLICAJKA:

– Ludzie majōm problemy z niōm. Beblo o jakiś 7 płciach, o prawie do wyboru... Ő byciu kim sie chce być. Kobiyta może być chorym, karlus dziouškōm.

(Kobiyta patrzy na Döchtörka.)

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBİYTA:

– Mocie problemy z ludźmi? No, z chopami?

(Kobiyta patrzy na Döchtörka i nic niy godō.)

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBİYTA:

– No, można z babami?

KOBİYTA:

– Niy mōm problemy z żōdnym. Niynawidzā gwołtōw. Bezsilności.

DÖCHTÖRKA PATRZI NA KOBİYTA I GODŐ DO POLICAJKI:

– Ta kobiyta niy je gupio – ōna je normalnō, niynormalnie normalnō.

POLICAJKA:

– Ta jeji normalność robi sie za barzo powszechnō!

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBİYTA:

– Jeżeście przekōnanō ō prawości swoich przekōnań nawet, kedy przedstawiōne wōm ōstanōm dowody ō jejich nieprawdziwości.

KOBİYTA:

– Niy jestech bezkrytycznie przekōnanō ō prawości moich przekōnań.

DÖCHTÖRKA NIEŚMIAŁO, AŻ TAK GAŃBIATO:

– To sprōbujemy jeszcze rōz?

POLICAJKA:

– Po co? Őna przeca udowō.

* * *

DÖCHTÖRKA:

– Sprōbujemy jeszcze rōz. Jak sie miynicie i wiela wom je?

KOBİYTA:

– Nazywōm sie miesiōnczek i nazywōm sie słońce, nazywōm sie śnik i mora nocnō, nazywōm sie gansi pampek i rōuza – rōuzo, rōuzo, rōuzko na łōnce...

Lōtōm ze szwalbkami i ōrlami, kryjā sie z myszkami w norce.

Czasym, casym – czynsto... Boja sie boja, trza sie bōć, trza sie schrōnić w mysij norce. Niy ma mie.

Miano, miano. Nomen omen, nomen omen – omen, omen... Strach mieć mianō. Miano jy włōsne – miano ci porwiōm, zebyś niy miała nic.

Bez to mie niy ma.

POLICAJKA:

– Dyć to miano pisze w papiōrach.

FLYJGERKA:

– Je w karcie pacjynta.

(Döchtorka czytō po cichu karta.)

DÖCHTÖRKA DO KOBİYTY:

– To pani je prawniczkā. Mōcie praktykā adwokackō.

FLYJGERKA:

– Ta kobiyta dyć wiy, kim je, jak sie nazywō i wiela mō lōt.

DÖCHTÖRKA DO FLYJGERKI:

– Mōsz suchac i uczyć sie!

DÖCHTÖRKA DO KOBİYTY:

– Wiela wom je?

KOBİYTA KOLYBŐ SIE:

– Jak jō zech je Hildegarda abo Hyjdwiga, to ōziymset. Jak jō zech Margareta, to dwiesta. Jak jō je Maria z Magdali, to mōm lōt dwa tysiōnce. Jak jō je zech jō, to mie niy ma. Niy ma mie jak Olgi i jak Agnieszki. Őne niy majōm strachu. A jo boja sie, boja, trza sie bōć, bo ich je moc. A jo boja sie, boja, że sie boja. A kiej jo sie boja, to jak sie majōm niy bōć slabi?!

DÖCHTÖRKA DO KOBİYTY:

– Wiycie, kajście sōm, kerego dzisiej mōmy, jaki to dziyń w tydniu?

KOBİYTA:

– My sōm, kaj my sōm... Kaj my sōm, tam my sōm. Egal. Kaj my sōm, tam mie niy ma. Bo my niy sōm wolni. Kerego dzisiej mōmy? Keregoś tam mōmy na zicher. Egal, dyć niy widza waszego serca i myśli niy widza. Zawarliście dźwiyrze, ōkna i serca. Őkna mōcie, dźwiyrze mōcie, serca... zawarte. Dźwiyrze bez klamek, w ōknach krōty... To kerego mogymy mieć!? Tego, co dycki!

DÖCHTÖRKA DO FLYJGERKI:

– Patrz, eli ta Kobiyta sprawiō wraźynie roztrzaśniyntyj i niyzdolnyj do cie-szyniō sie, idzie wysnuć podyzdrzynie ō ōbniżyniu launy.

FLYJGERKA DO DÖCHTÖRKI:

- Widziałach. Już godałych. Ale jo niy je Döchtörka. A ta Kobiyta niy je nie-normalnö!

POLICAJKA:

- Tyż zech niy je. Dziynki Bogowi, niy. Jö zech je normalnö.

(Policajka strzylö kauguminym.)

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBIYTA:

- Pijecie gorzółä?

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBIYTA:

- Pasowaliście narkotyki?

(Kobiyta patrzy na Döchtörka i nic niy godö.)

FLYJGERKA DO DÖCHTÖRKI:

- Laboratorium niczego takigo niy wyközało.

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBIYTA:

- To dobrze! W porzöndku. Mocie inksze uzależniyniö?

(Kobiyta patrzy na Döchtörka i nic niy godö.)

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBIYTA JESZCZE ROZ:

- Mocie inksze uzależniyniö?

KOBIYTA:

- Do Wös möm dorada niy być, a do starki möm rada być. Takie möm uzależniyniö. Starka godo pröwda po naszymu – direkt i fest. Przonie to chop i baba, baba i chop, z tego bieröm sie ludzie. Wpiyrw małe, potym wiynksze, a potym zaś baba i chop. Potym möjöm dzieci, potym söm starköm i starzykiem. Rodzöm sie i umiyrajöm. Takie möm uzależniyniö. Krzest, komunijö, žyniöm sie i umiyrajöm. Poczöntek i köniec. To je möj narkotyk. Na smyntorzu mi napiszcie: – Žödyn abo koždy. A fto niy chce być baböm eli chopym, tyn tyż może žyc i kochać. Takie möm uzależniyniö. Ô to sie bijä.

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBIYTA:

- Trefiało Wöm sie widzieć abo słyszeć coś niytypowego, co inksi ludzie niy doświadczali?

KOBIYTA:

- Niy wiyim, co doświadczyli inksi. Roztomaicie godajöm.

(Döchtörka ciynžkö dychö.)

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBIYTA:

- Doświadcżöcie urojeń?

(Kobiyta patrzy na Döchtörka i nic niy godö.)

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBIYTA:

- Słyszycie jakeš głosy, eli ödczuwocie kej ino jakeš niytypowe doznaniö, co mogły by pochodzić z postrzodka Waszego ciała.

(Kobiyta patrzy na Döchtörka i chwila nic niy godo. Myšli.)

KOBIYTA:

- Wiyecie... Z postrzodka ciała... w sercu niy möm bajzlu, chocia w gowie toh je krześcijanka, a w brzuchu poganka. W gowie pokuta, w brzuchu natura, w sercu niy möm bajzlu. Jak mie boli, to zniköm i mie niy ma. A kiej niy zniköm, to sie bija. We söndzie i na ulicy.

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBIYTA:

- Mieli żeście jakeš wraždlate, niyprzijymne myšli, co jejich próbowaliście unikać.

KOBIYTA:

- Toż wiyecie, boch pedziała. Niy chca myśleć. Niy myšla, bo mie niy ma. Łaziła do szkoły, czytała, szkryfłała, rachowała, ale mie tam niy było. Niy było mie, to mie niy cyganili i mie niy przeżywali. Niy musiała myśleć. Noty dostawała dobre, bo rechtörki słyszały, co chciały – słowo w słowo, co było zapisane w knigach i heftach. Sztudyrowała, robiła aplikacyjö. Czasami zdö mi sie, że jest jakoš szansa.

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBIYTA:

- Dokönowaliście aktów samoökaleczeń.

(Kobiyta patrzy na Döchtörka.)

KOBIYTA:

- Po co?

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBIYTA:

- Mocie myšli samobójcze. To ważne.

(Döchtörka kiwie Policajce gowöm. Policajka wylajzuje z izby, ale zarozki idzie nazod. Döchtörka kiwie Flyjgerce gowöm. Flyjgerka rozwiönzuje Kobiycie rynkowy kaftana.)

DÖCHTÖRKA DO KOBIYTY:

- Jak wyglöndały relacyje z Waszymi öjcami w ökresie dorastania?

KOBIYTA:

- Dobrze. Mama mi przala. Tata mi przoł, ale robił i durch robił. Niy bił i niy ślepöł.

DÖCHTÖRKA DO KOBIYTY:

- Jak przebiygała ciönža u matki?

KOBIYTA:

– Czamu? Normalnie!

DÖCHTÖRKA DO KOBIYTY:

– To zwiõnzane z etiologiõm. Schizofrynije sõm po infekcyjach we õkresie zyciõ wewnõntrzmacicznego.

KOBIYTA:

– Niy mõm schizofrynije.

DÖCHTÖRKA DO KOBIYTY:

– Rõz żeście sõm, rõz wõs niy ma... Rõz sie boicie, rõz sie bijecie...!

(Kobieta nic niy godõ.)

DÖCHTÖRKA DO KOBIYTY:

– Jak Wõm było we szkole?

KOBIYTA:

– Już zech godała! Łaziłach do szkoły, czytałach, szkryflałach. Rachowałach, ale mie tam niy było. Noty dostawałach dobre, bo rechtõrki słyzały, co chciały – słowo w słowo, co było zapisane w knigach i heftach. Niy było mie, to mie niy przezywali. Niy musiałach myśleć. Niy poradziłach mówić. Rechtõrki godaly, taka czysta dziewczynka, a tak brzydko mówi. Naumiałach sie sama kõnsztu przidõwaniõ, õdyjmowaniõ, mnożyniõ, dzielyniõ i õbliczaniõ proporcyje, dokõnowaniõ porachowań w pamiyńci i na papiõrze, a tyż pasowaniõ przeliczników wõg i miõr dlõ rozwiõnzaniõ moc zõdań i problymõw w dziynnym zyciu. Spotrzebowuja je w zarzõndzaniu dõmowym budżetym – planowanie wydatkõw – szporowanie, przy robiyniu sprõwõnkõw. To mõj kõnszt zastosowaniõ matymatyki w myślyniu – kõnszt logicznego i analitycznego myślyniõ, kõnszt miarkowaniõ inkszych, talynt krytycznyj õcyny, kõnszt õdzielyniõ dowiedzõnych stwiyrdzyn õd przipuszczyń. To Poradza! Ale niy ze szkoły! W szuli toch sie miarkowała, coby niy być, co by niy godać, co by niy godać po naszymu. Bo sie śmioli. Toż może i mõm schizofrenija?

DÖCHTÖRKA PYTÕ KOBIYTA:

– I ukończyła Pani studia prawnicze?

KOBIYTA:

– Naumiałach sie sama kõnsztu piõknego mówienia i ukończyłam studia prawnicze.

(Policajka gawcy na Dõchtõrka. Dõchtõrka niy spoziyrõ na Policajka.)

DÖCHTÖRKA PYTÕ KOBIYTA:

– Mõcie inksze uzależniyniõ, take, jak zakupoholizm eli patologiczne uprõwianie hazardu).

KOBIYTA:

– A po co? Żywobycie tukej u nõs, kaj nõs niy ma, a my sõm, już tak ogupiõ, iże styknie. Gorzoły niy trza. Hazardu tyż niy.

(Policajka gawcy na Dõchtõrka. Dõchtõrka na nia niy spoziyrõ.)

DÖCHTÖRKA PYTÕ KOBIYTA:

– Doświadczõcie urojeń.

KOBIYTA:

– Widzã Go. Wszandy. Na polu. W õbiylu. Na gõrce we śniegu. Potym Go niy ma. Ftoś Go porwoł. Przyszed cudzy i Go porwoł. Ale może to bõł sõmsiõd? Bõł z jakõs fanõm. Wywijoł niõm. Schizofrenija? Mania przesladowczo? Widzã Go, bo õn je wszandy. Bo õn przaje wszystkim, wszystkim...

Widzã siebie, iże mõm śnik. Śniła mi sie ksiõnzka. Chcã przeczytać piyrszõ strõna, a õna goreje. Chcã przeczytać drugõ i õna tyż goreje. Cołkõ ksiõnzka goreje. Ôstõwõ popioł. Bioły, jak hasie. Tam chyba były dobre słowa. Schizofrenija? Wypiyranie zła? Biblia? Pismo Świynte!

DÖCHTÖRKA DO KOBIYTY:

– Ôsprowiycie dalij.

KOBIYTA:

– Kej za bajtla wyżynłach cigi i ukõzoł mi sie Aniõł Pański we flemie õgnia, z postrzodka kerza. Mie tam niy było, alech uwidziała, jak kerz gorõł õgniyem, a niy zgorałach õd niego – ani jo, ani nikt.

DÖCHTÖRKA PYTÕ KOBIYTA:

– Ôdczuwõcie jakeś swobodniysze eli tyż gibsze napływanie myśli.

KOBIYTA:

– Kiej myśla, iże myśla, to niy myśla.

(Policajka klupie sie po kasku.)

DÖCHTÖRKA PYTÕ KOBIYTA:

– Mieli żeście jakeś wrazielate, niyprzijymne myśli, co jejich prõbowaliście unikać.

KOBIYTA:

– Jo niy myśla – jo robia. Suchõm starki i robia. A starka niy je gupiõ i niy je zło.

DÖCHTÖRKA PYTÕ KOBIYTA:

– Doświadczõcie kõniecności wykõnowaniõ jakichś czynności?

KOBIYTA:

– Co mogõm łagodzić wystympowanie õbsesyje...?

(Kobieta patrzy na Dõchtõrka i nic niy godõ.)

KOBIYTA:

– Rzykom. Po cichu rzykom po mojemu.

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBIYTA:

– Dokōnowaliście aktōw samookaleczeń.

KOBIYTA:

– Jakich?

DÖCHTÖRKA PYTÖ KOBIYTA:

– No, aktōw samookaleczeń?

KOBIYTA:

– Akty to jō maluja. Nic wiyncyj.

KOBIYTA:

– Niy godajcie mi bez Wy abo bez Ōni. Godejcie mi Zofija! To jest moje miano.

DÖCHTÖRKA PYTÖ ZOFIJA:

– Dokōnowałaś aktōw samookaleczeń.

ZOFIJA:

– Niy.

* * *

DÖCHTÖRKA PATRZI NA POLICAJKA I OFICJALNIE GODÖ DO ZOFIJE:

– Sōmeście fraj. Flyjgerka do wōm nazod wasze ōblycynie i strzewiki.

POLICAJKA:

– Zaroz. Zaroz – niy tak gibko! Abo Ōna je waszōm pacjentkom, abo je zdrowo? Abo Ōna je waszōm pacjentkom i je fraj w lazarycie do wariatek, abo je zdrowo i niy je fraj, i idzie se mnōm do heresztu?

POLICAJKA:

– Ōna spychaczem ōbalala dynkmale.

ZOFIJA:

– Niy bagrym i niy wszyjskie.

DÖCHTÖRKA GODO DO ZOFIJE:

– Niy wszyjskie?

ZOFIJA:

– Ino te, co mie nocōm strōszały. Bōc sie trza bohaterōw i ōwyntyach. Trza sie bōc. Trza sie bōc tych, co jejich dynkmale stowiajōm.

DÖCHTÖRKA GODO DO ZOFIJI:

– Beztōż sie boisz?

POLICAJKA:

– Ōna opluła baba wrōcujōncō z kōmunije.

DÖCHTÖRKA GODO DO ZOFIJI:

– Prōwda to?

ZOFIJA:

– Gōdała, że jō bija sie o kobiyty, bo jo z babami...

DÖCHTÖRKA GODO DO ZOFIJI:

– Wy z kobiytami... Sōmeście fraj. Flyjgerka do wom nazod wasze ōblycynie i strzewiki.

(Flyjgerka sejmuje Kobiycie kaftan. Policajka wartko ōblyko tyn kaftan.)

FLYJGERKA GODÖ DO DÖCHTÖRKI:

– To mōmy nowō pacjyntka, echt Wariatka.

DÖCHTÖRKA GODO DO FLYJGERKI:

– Ōboczymy...

* * *

DÖCHTÖRKA DO POLICAJKI:

– Jako sie miynicie i wiewa Wōm je?

(Policajka patrzy na Dōchtōrka i nic niy godō.)

FLYJGERKA:

– Wiym, kim je, jak sie nazywō i wiewa mō lōt.

(Policajka patrzy na Dōchtōrka i nic niy godō.)

FLYJGERKA:

– Wiym, kim je, jak sie nazywō i wiewa mō lōt. To nierobiś, co mō dwie lewe rynce.

DÖCHTÖRKA PYTÖ POLICAJKA:

– Kurzycie?

POLICAJKA:

– Kurzycie? Niy kurza!

FLYJGERKA:

– Niy kurzy swoich.

DÖCHTÖRKA PYTÖ POLICAJKA:

– Pasowaliście gorzoła?

POLICAJKA:

– Niy pija gorzoły.

FLYJGERKA:

– Niy pije gorzoły – ino łyskacze!

DÖCHTÖRKA PYTŎ POLICAJKI:

- Pasowaliście narkotyki?

FLYJGERKA:

- A kaj tam – ino LSD metamfetamina i ecstasy. Inkszym dowŏ.

DÖCHTÖRKA PYTŎ POLICAJKA:

- Mosz inksze uzaleźniyniŏ?

(Policajka patrzy na Döchtörka i nic niy godŏ.)

FLYJGERKA:

- Zakupoholizm i patologiczne uprŏwanie hazardu.

DÖCHTÖRKA PYTŎ FLYJGERKA:

- Skönd wiysz?

FLYJGERKA:

- Niyh Pani Döchtör zgodnie.

DÖCHTÖRKA:

- No, mŏw!

(Flyjgerka nic niy godŏ.)

miasto-ogrodow.eu

Zobacz

Posłuchaj

Doznaj



Katowice Miasto Ogrodŏw
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek
plac Sejmu Őląskiego 2, 40-032 Katowice

WYDAWCY:

iM!GO
PUBLIC RELATIONS



KATOWICE
Miasto Ogrodów

PATRONAT MEDIALNY

GAZETA
wyborcza

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY • ISBN 978-83-953626-6-8